

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Novembre 1969

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C.

SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

LISTOPAD

1969

Nr 64/1211

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



GENERAL BRONI KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

19. XI. 1885 — 11. X. 1969

FP 2156

KSIĘGA DZIEJÓW

7 Pułku Ułanów Lubelskich
im. Gen. Kazimierza Sosnkowskiego

„Książka ta jest pomnikiem wielkiej miłości żołnierzy do swego oddziału i pozostanie po nich dla prawnuków“.

Gen. Marian Kukiel

Do nabycia w księgarniach polskich

Cena £4.0.0 — dol. 12.00

W NUMERZE :

J. Smoleński: Generał Kazimierz Sosnkowski	1
J. Drobnik: Po wyborach w Niemieckiej Republice Związkowej	4
A. Podgórski: Na pograniczu zrozumienia	6
M. Tomkiewicz: Ala i jej własny hippie	9
W. Opolski: Barbarzyńskie dekrety Franka	11
Kage: Przegląd spraw wojskowych	13
W. Szczygiel-Harwey: W 25-tą rocznicę bitwy pod Arnhem	14
J. Surynowa-Wyczółkowska: Narokotyki — wróg pisarzy	16
F. Goldschlag: Detektyw z dyplomem	17
K. Brzozowska: W nowogrodzkiej stronie (V)	20
F. Chrzanowski: Tematy paryskie	22
S. Benedykt: „Między młotem a kowadłem“	23
W. Günther: Poeta w „Weselu“ I w życiu	25
H. Jankowska: Jcdnym tchem — na przelaj	26
K. B.: Prasa o Witoldzie Gombrowiczu	28
Gen. Anders: O żołnierzu polskim w 2-jej wojnie światowej	30
K. F. Vincenz: Śp. Jerzy Stempowski	31
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	31
Z życia polskiego	32
I. Hradyska: Bez paszportu	34
K. E.: Przeważnie dla Pań	37
W. Stefański: Błogosławieństwa uspołecznienia	39

Ś. † P.

GENERAL BRONI

KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

Kawaler orderu Virtuti Militari II i V klasy, Szef Sztabu I Brygady Legionów, Komendant Z.W.Z., Naczelný Wódz, Członek Honorowy SPK, niestrudzony żołnierz i obywatel, zmarł w Kanadzie 11 października 1969 roku.

Cześć Jego Pamięci!

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów
Federacja Światowa

Ś. † P.

LEOKADIA CHRZANOWSKA

Najukochańsza żona i matka zmarła w Monachium, dnia 8-go października 1969 roku.

O bolesnej stracie zawiadamiają,

Mąż i córka

LISTY DO REDAKCJI

KSIĄŻKA O WOJTKU

Szanowny Panie Redaktorze,

Będę Panu Redaktorowi niesłychanie wdzięczna za ogłoszenie w „Orle Białym“ mego listu:

Mieszkając od wielu lat w stolicy Szkocji często odwiedzam edynburski Ogród Zoologiczny, być może dlatego, że czasem czuję się lepiej wśród zwierząt, aniżeli wśród ludzi... Toteż z wielką przyjemnością zabrałam się do przeczytania nowej książki p. Wiesława Lasockiego, pt. „Wojtek spod Monte Cassino“ wydanej przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — Gryf Publications Ltd. Często wertując ulubione rozdziały jego poprzedniej książki „Zwierzęta i Żołnierze“ (w wydaniu Polskiej Fundacji Kulturalnej), wiedziałam, że i tym razem nie doznam rozczarowania. Jestem książką zachwycona, gdyż jest ona najlepszą rozrywką dla czytelnika każdego wieku, a szczególnie dla młodzieży. Napisała ślicznym polskim językiem dociera do duszy czytelnika i rozbudza wiele drogich wspomnień. W tym anglosaskim świecie, gdzie myśli skrzętnie się ukrywa, człowiek obrósł w nieczulość a unikanie ludz-

kiego porozumienia się z bliźnimi staje się drugą naturą. Rysunki I. Ludwíg są naprawdę bardzo udane i znakomicie pasują do całości. W ogóle książka ma wartość edukacyjną, bo zaznajamia, czy przypomina zapomnianą geografię i historię. Byłoby rzeczą bardzo wskazaną, gdyby książkę tę udało się wydać nie tylko po angielsku, ale i po francusku, a przede wszystkim po włosku. Przecież właśnie tam w słonecznej Italii 'Wojtek' wykazał tak wspaniałe swoją przydatność bojową. Stała piosenka mówi: „Człowiek strzela, ale Pan Bóg kule nosi“. Pod Monte Cassino wszakże nie tylko Pan Bóg je nosił, ale... także i nasz Wojtek. I nie o każdym niedźwiedziu można tak napisać.

Być może przypomnieli sobie o tym nasi harcerze w czasie ich ostatniego zlotu na Monte Cassino. I może w wyobraźni mignęła im wówczas sylwetka 'Wojtka', bo „choć czas płynie naprzód i ślady przeszłości zasypuje pyłem zapomnienia, pamięć o Wojtku wciąż trwa. Bo Wojtek był niedźwiedziem, którego każdy kochał.

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

TRAGICZNĄ wiadomość przyniosły depeše i audycje radiowe polskie na Zachodzie, że w Kanadzie zmarł 11 października br. generał broni Kazimierz Sosnkowski. Wiadomość ta, przekazywana z ust do ust, wywołała wielki wstrząs w szeregach emigracji polskiej i na pewno wśród społeczeństwa w Kraju. Śmierć generała Sosnkowskiego odczuta powszechnie jako wielką niepowetowaną stratę, zabrakło bowiem człowieka, który reprezentował ciągłość idei przewodniej narodu i państwa polskiego w duchu wskazań i czynów Józefa Piłsudskiego. Zabrakło autorytetu, którego słowa i czyny budziły wiarę i nadzieję, umacniały wolę walki o wolność i wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Siedemdziesięcioletnią pracę Kazimierza Sosnkowskiego, od lat młodzieńczych po zgon, wyraża zespół cech o wartościach niezwykłych, wśród których charakter, rozum, wszechstronne zdolności i talenty wysunęły go na czoło największych w Narodzie tego okresu dziejów Polski.

Urodzony 19 listopada 1885 roku w Warszawie, wychowany w tradycjach rodu, którego członkowie walczyli w powstaniach narodowych, już jako sześciolatek chłopiec, zapamiętany w portret swego stryjecznego dziadka, na którego piersi widniały orderzy Virtuti Militari i Legii Honorowej, obiecywał sobie w marzeniach dziecięcych, że takie krzyże zawisną kiedyś i na jego piersi. W gimnazjum w Warszawie jest członkiem tajnych kółek samokształceniowych, a po strajku szkolnym w 1905 r., który przerwał jego studia na politechnice warszawskiej, włączył się w nurt ruchu, któremu przywołał Józef Piłsudski, konieczności walki zbrojnej narodu o odzyskanie niepodległości. Zrozumienie potrzeby tej walki kieruje Sosnkowskiego do szeregów Polskiej Partii Socjalistycznej i od razu do zbrojnego ramienia partii — Organizacji Bojowej, która, wykorzystując ruch rewolucyjny w Rosji, rozpoczęła walkę z broją z organami caratu na terenie Królestwa.

W Organizacji Bojowej Sosnkowski zostaje szybko wysunięty na stanowisko kierownicze: zostaje komendantem okręgu warszawskiego O.B., którego stan liczebny dopro-



Nr 64/1211

LISTOPAD, 1969

Rok XXIX

JÓZEF SMOLEŃSKI

Generał Kazimierz Sosnkowski

wadził szybko do kilkuset członków. Na skutek dekonspiracji zostaje przeniesiony na takie samo stanowisko w okręgu radomskim, a następnie do Zagłębia Dąbrowskiego. Tu kończy się jego praca w O.B.. Na skutek wygasania rewolucji w Rosji, działalność bojowa O.B. ulega również osłabieniu, Sosnkowski wyjeżdża do Lwowa, gdzie rozpoczyna przerwane w Warszawie studia na Politechnice Lwowskiej, a równocześnie organizuje kółka studenckie i prowadzi szkołę bojową.

Za zachętą Józefa Piłsudskiego Sosnkowski zaczyna się interesować literaturą wojskową i wówczas rodzi się u niego myśl oparcia przyszłej walki zbrojnej o niepodległość o konkretną organizację wojskową, która stałaby się zawiązkiem kadr, przeznaczonych do rozbudowy przyszłych wojsk powstańczych. Nie ujawniając na razie tego zamiaru Piłsudskiemu, zajętemu przygotowaniem do słynnej akcji pod Bezdunami, organizuje Sosnkowski w lecie 1908 r. „Związek Walki Czynnej“ (Z.W.C.), obejmujący młodzież różnych przekonań politycznych.

Piłsudski po powrocie spod Bezdana do Lwowa akceptuje powstanie Z.W.C. i wkrótce staje na jego czele jako komendant główny, Sosnkowski zostaje jego szefem sztabu i zastępcą.

Od tej chwili rozpoczyna się współpraca tych dwóch ludzi: wodza, którego genialne koncepcje polityczne i wojskowe wytyczają kierunki działalności niepodległościowej i jego szefa sztabu, który myśli wodza rozumie i w pełni podziela,

pomagając mu ofiarnie w ich realizacji. Równocześnie z pełnią energii i najlepszej woli przygotowuje dla Komendanta elementy, które stają się widomym argumentem siły w jego polityce niepodległościowej. Argumenty te dają rozbudowa organizacji wojskowych.

Z.W.Z. był organizacją zakonspirowaną. Mimo bardzo szerokiego jego zasięgu, obejmującego, poza — głównie Galicją i w mniejszym stopniu Królestwem, również skupiska polskiej młodzieży uniwersyteckiej w krajach Europy zachodniej i Rosji, nie mógł być organizacją liczną. Komendant Piłsudski łącznie ze swym szefem przystąpił przeto do tworzenia jak najbardziej powszechnej organizacji jawnej na terenie Austrii, a także Belgii, Francji i Szwajcarii pod nazwą Związku Strzeleckiego względnie Strzelca. Organizacja rozrasta się szybko, powstają kompanie i bataliony, Sosnkowski organizuje szkoły oficerskie i podoficerskie, odbywają się ćwiczenia bojowe.

Nadchodzi 6-ty sierpień 1914 roku. Oddziały strzeleckie, poprzedzane Kompanią Kadrową, wyruszają do walki powstańczej z Rosją. Piłsudski i Sosnkowski są z nimi.

Zrządzeniem wypadków, na skutek nagłego wezwania Piłsudskiego do Krakowa, pierwsza walka i chrzest bojowy czołowego batalionu Strzelców zostaje stoczona w Kielcach pod dowództwem szefa Sosnkowskiego z dywizją kawalerii rosyjskiej. I tu od razu dają się poznać wartości Sosnkowskiego jako bojo-

wego dowódcy. Dnia 12 sierpnia od-
rzuca nagły atak szwadronów kawa-
lerii rosyjskiej, które wdarły się do
Kielc, a w dniu następnym odiera
przez kilka godzin natarcie całej dy-
wizji na Kielce, wsparte silnym
ogniem artylerii. Zagrożony otocze-
niem ze spokojem i zręcznością do-
świadczonych w bojach dowódcy,
wyprowadza swój batalion z matni i
organizuje nową linię obronną na
południe od Kielc.

Boje I Brygady Legionów w la-
tach 1914-1916 wiążą coraz mocniej
Piłsudskiego z Sosnkowkim, który
kilkakrotnie w czasie nieobecności
Komendanta, dowodzi brygadą w
działaniach bojowych, zawsze z wy-
nikiem zwycięskim. Z bojów tych
wysuwa się na pierwszy plan bitwa
I Brygady pod Łowczówkiem w
okresie Bożego Narodzenia 1914 r.,
która przynosi chwałę brygadzie, a
Sosnkowskiemu jako dowódcy wyso-
kie uznanie.

W doli i niedoli walki Piłsudskie-
go z władzami austriackimi o samo-
dzielność Legionów jako formacji
wojska polskiego, Sosnkowski stoi
mocno u jego boku. Obaj zostają
zwolnieni z Legionów w końcu 1916
roku. Po paromiesięcznej rozłące
Sosnkowski zostaje w kwietniu 1917
roku zastępcą — szefa departamen-
tu wojskowego przy tymczasowej
Radzie Stanu. Nie na długo. W wy-
niku kryzysu przysięgowego w li-
pcu tego roku, obaj zostają uwięzieni
przez Niemców. Przebywając w róż-
nych więzieniach, Sosnkowski dopie-
ro w początkach września 1918 roku
zostaje połączony z Komendantem
Piłsudskim w twierdzy Magdeburga.
Tu spotyka ich uwolnienie.

10 listopada Piłsudski z Sosnkow-
skim przybywają do Warszawy. Roz-
poczynają się znamienne wydarzenia:
formowanie zrębów powstałej
do niepodległego bytu Rzeczypospo-
litej. I znów — jak w okresie Z.W.C.
generał Sosnkowski staje u boku
Naczelnika Państwa i Naczelnego
Wodza Józefa Piłsudskiego jako or-
ganizator Polskiej Siły Zbrojnej, na
stanowisku wiceministra spraw woj-
skowych, Rezygnuje z proponowane-
go mu stanowiska ministra spraw
wojskowych, z którym łączy się po-
chłaniające czas obowiązki repre-
zentacyjne, pragnie bowiem cały
swój wysiłek bez przeszkód poświę-
cić pracy przygotowania Naczelnego

Wodzowi czynnika siły do uży-
cia w walce jaką toczył dla utrwalenia
granic Rzeczypospolitej. Repre-
zentuje również sprawy wojskowe
w sejmie. W świetnych przemówie-
niach, dokumentowanych logiczną
argumentacją, przeprowadza ustawy
o powszechnym obowiązku służby
wojskowej i o indywidualnych świadczeniach
wojennych. Równocześnie
organizuje sprawy dostaw materia-
łów wojennych do frontu, załatwia
sprawy zakupów zagranicą, kładzie
podwaliny przemysłu wojennego.

Pracę na stanowisku wicemini-
stra spraw wojskowych gen. Sosn-
kowski przerywa na kilka tygodni
wiosną 1920 roku, by jako dowódca
Armii Rezerwowej przeciwstawić się
ofensywie wojsk Tuchaczewskiego,
które po przełamaniu frontu na pół-
nocy, wdarły się aż po jezioro Na-
rocz. Wyruszając siłami swej armii
do natarcia w początku czerwca,
rozbija czołowe dywizje XV armii
sowieckiej, bierze parę tysięcy jeń-
ców i w pościgu za uchodzącym nie-
przyjacielem, ustala front na rzece
Auta. Armia Rezerwowa kończy swe
zadanie, gen. Sosnkowski wraca na
poprzednie stanowisko.

Następuje kryzys wojny polsko-
sowieckiej. Masy kawalerii Budien-
nego od południa i wojska Tucha-
czewskiego od północy prą nad Wi-
słę. Generał Sosnkowski, mianowany
ministrem spraw wojskowych i
członkiem Rady Obrony Państwa,
przystępuje z niezmierną energią do
rozbudowy wojska. W ciągu kilku
tygodni przed rozpoczęciem bitwy
Warszawskiej oddaje do dyspozycji
Naczelnego Wodza 80.000 ochotni-
ków i 140.000 poborowych, co do-
prowadza stan armii polskiej do li-
czby 900.000 żołnierzy. Stan uzbro-
żenia powiększa o 70 nowych baterii,
200 dział uzupełnienia i ponad ty-
siąc ciężk. karabinów maszynowych.
Jako członek rządu jedności narodo-
wej Witosza i Daszyńskiego, wpływa
decydująco na pozostanie rządu w
Stolicy. Energia i akcja gen. Sosn-
kowskiego w tych decydujących
chwilach, stawia go w rządzie współ-
twórców zwycięstwa.

Po wojnie, gen. Sosnkowski, po-
zostając nadal na stanowisku Mini-
stra spraw wojskowych, towarzyszy
w 1921 roku Marszałkowi Piłsud-
skiemu w jego wizycie w Paryżu.
Po odejściu Naczelnika Państwa,

pozostaje we Francji i w rozmowach
i pertraktacjach z Fochem, Mille-
randem i Briandem, finalizuje umo-
wy wojskowe pomiędzy Polską i
Francją, uzyskuje pożyczkę 400 mi-
lionów franków na uzbrojenie armii
polskiej. Współdziałał później w za-
warcie umowy polsko-rumuńskiej.

Po odejściu z rządu w roku 1924
generał Sosnkowski obejmuje do-
wództwo Okręgu Korpusu Nr. VII
w Poznaniu. W 1925 roku wyjeżdża
do Genewy na czele delegacji pol-
skiej na międzynarodową konferen-
cję w prawach handlu materiałami
wojennymi. Przeprowadza uchwałę o
przyznaniu państwu sąsiadującym
z Rosją Sowiecką szczególnych przy-
wilejów na wypadek ograniczenia
zbrojeń. Inicjuje również i przepro-
wadza uchwałę o zakazie broni ba-
kteriologicznych.

W 1927 roku gen. Sosnkowski zo-
staje mianowany Inspektorem Armii.
Pozostając na tym stanowisku, pełni
równocześnie funkcję przewodniczą-
cego Komitetu dla Spraw Uzbroje-
nia i Sprzętu (KSUS) oraz Komite-
tu Wyższej Szkoły Wojennej. W tros-
ce o nowocześniejsze uzbrojenie
przeprowadza, już po śmierci Mar-
szałka Piłsudskiego, rokowania o no-
wą pożyczkę francuską na ten cel
z pomyślnym wynikiem.

Pozostając wówczas na stanowi-
sku czysto wojskowym, nie przestaje
interesować się sprawami polityki
wewnętrznej i zagranicznej pań-
stwa, które staje się przedmiotem jego
poważnych trosk. Daje temu wyraz
w rozmowach z Prezydentem Mości-
ckim i marszałkiem Śmigłym-Ry-
dzem. Porusza w nich z naciskiem
konieczność pogłębienia przyjaznych
stosunków z Francją, pacyfikacji
stosunków wewnętrznych i przepro-
wadzenia reform ekonomiczno-fi-
nansowych celem przyspieszenia ter-
minu pogotowia polskich sił zbroj-
nych. Wielką troską napawa go zbli-
żające się niebezpieczeństwo niemie-
ckie. Jest przeciwny udziałowi Pol-
ski w regulowaniu przemocą łącznie
z Niemcami sporów granicznych z
Czechosłowacją. W dalszym rozwo-
ju wydarzeń przewiduje okupację
Czechosłowacji przez Hitlera, co z
kolei doprowadzi do strategicznego
okrążenia Polski. W jesieni 1938 r.
wysuwa postulat rozszerzenia bazy
społecznej dla kierowania narodem
i państwem, a w marcu 1939 r. do-

maga się powołania koalicyjnego rządu jedności narodowej.

W chwili wybuchu wojny odma-
wia zgody na objęcie teki ministra
koordynacji całości spraw gospodar-
ki wojennej. Prosi o przydział fron-
towy. Naczelny wódz marszałek Śmi-
gły-Rydz wyznacza gen. Sosnkow-
skiego na stanowisko dowódcy fron-
tu południowego. Obejmuje je z
dniem 11 września, w chwili gdy
pancerne zagony niemieckie docho-
dzą do Lwowa od zachodu i połud-
nio-zachodu, a na północy okrążają
go, prąc na Rawę Ruską-Zamość. W
rejonie Przemyśla pozostają odcięte
trzy dywizje piechoty. Gen. Sosnko-
wski decyduje się szybko. Zorgani-
zowawszy bezpośrednią obronę Lwo-
wa, udaje się samolotem do Przemys-
ła, obejmuje osobiście dowództwo
nad odciętym zgrupowaniem i rusza
z nim na odsiecz Lwowa, kierując
się na rejon lasów Janowskich. W
rejonie tym nad rz. Wareszycą od-
nosi piękne zwycięstwo, rozbijając
w nocy z 15 na 16 września wyboro-
wą dywizję pancerną SS „Germa-
nia“, i zdobywając 80 czołgów i 30
dział. W dalszym ciągu jednak, po
nieudanej próbie przebiecia się na
Lwów poprzez przeważając siły nie-
mieckie, gen. Sosnkowski wydał roz-
kaz zniszczenia ciężkiego sprzętu i
przedzierania się na Węgry indywi-
dualnie lub w małych grupkach. Sam
z oficerem sztabu przedostał się na
Węgry, skąd w dniu 11 października
przybył do Paryża.

Po przybyciu do Francji generał
Sosnkowski włącza się odrazu do
wytężonej pracy wojskowo-politycz-
nej w łonie nowych władz polskich
na Zachodzie. Prezydent Raczkiewicz
wyznacza go na swego następcę, a
naczelny wódz i premier gen. Sikor-
ski powierza mu stanowisko wice-
premiera i kierownika pracy na
Kraj. Na tym stanowisku gen. Sosn-
kowski powołuje w Kraju tajny od-
powiednik wojska, kadrowy Związek
Walki Zbrojnej (ZWZ), oparty o or-
ganizację „Służba Zwycięstwu Pol-
ski“ (SZP), założoną przez gen. Ka-
raszewicz-Tokarzewskiego. Jako Ko-
mendant Główny ZWZ gen. Sosnko-
wski reguluje sprawy organizacyjne
Związku, wyznacza zakres akcji sabo-
tażowej i dywersyjnej, organizując
równocześnie bazy łączności z Kra-
jem na Węgrzech, w Rumunii i w
Szwecji.

Po klęsce Francji i przejściu władz
polskich do Londynu, gen. Sosnkow-
ski pozostawia sobie tylko kierow-
nictwo spraw zaopatrzenia Kraju
w pieniądze, materiał wojskowy i
ludzi oraz rozbudowy łączności ra-
diowej i lotniczej, natomiast funk-
cję Komendanta Głównego ZWZ
przekazuje gen. Grot-Roweckiemu.

Po wybuchu wojny niemiecko-ro-
syjskiej gen. Sosnkowski, stojąc na
stanowisku potrzeby uregulowania
stosunków z Rosją sowiecką, nie
zgadza się z tekstem umowy Sikor-
ski-Majski, przede wszystkim z bra-
kiem wyraźnego w niej sformułowa-
nia nienaruszalności wschodnich
granic Polski. Wywołuje to następ-
nie na znak protestu ustąpienie gen.
Sosnkowskiego z rządu i powoduje
pozbawienie go kierownictwa spr-
awami Kraju.

Po tragicznej śmierci gen. Sikor-
skiego 4 lipca 1943 prezydent Raczkiewicz
wyznacza gen. Sosnkowskie-
go na stanowisko naczelnego wodza
Polskich Sił Zbrojnych. W tym cza-
sie położenie polityczne przyjmuje
niekorzystny obrót dla Polski. Wro-
gie stanowisko Sowietów, dążących,
po zwycięstwach odniesionych nad
wojskami niemieckimi w Rosji, do
opanowania Polski jako przyszłej re-
publiki komunistycznej, czego nie
chcą wiedzieć aliancy zachodni, a z
czego zdaje sobie doskonale sprawę
wódz naczelny — gen. Sosnkowski,
stawia pod znakiem zapytania akcję
dywersyjną i powstanie Armii Kra-
jowej.

Gen. Sosnkowski pragnie jak naj-
bardziej ograniczyć wystąpienia
zbrojne w Kraju. Na tym tle docho-
dzi do napięcia w stosunkach pomię-
dzy nim, a premierem Mikołajczy-
kiem i częścią rządu polskiego.

Nadchodzi okres tragicznego pow-
stania w Warszawie. Gen. Sosnkow-
ski był mu przeciwny, nie był jednak
w stanie mu zapobiec wobec odmien-
nego stanowiska premiera, odpo-
wiedzialnego konstytucyjnie za
sprawy prowadzenia wojny, który
upoważnił delegata na Kraj do za-
rządzenia powstania, co zostało za-
akceptowane jednomyślną uchwałą
rządu i przyjęte przez Prezydenta
Rzeczypospolitej.

W obliczu rozwijających się krwa-
wych walk w Warszawie, gen. Sosn-
kowski czyni nadludzkie wysiłki, by

nakłonić aliantów do przesyłania
broni i amunicji powstańcom. Jego
zabiegi przynoszą niewielkie wyniki.

Na tym tle dochodzi do napięcia
pomiędzy naczelnym wodzem, a czyn-
nikami brytyjskimi, którym generał
Sosnkowski w historycznym rozka-
zie Nr. 19 zarzucił braki w dotrzy-
mywaniu zobowiązań sojusznicznych
Ulegając naciskom zewnętrznym
Prezydent Rzplitej zwolnił generała
Sosnkowskiego z dniem 30 września
1944 r. ze stanowiska naczelnego
wodza.

Gen. Sosnkowski udał się do Ka-
nady, gdzie zamieszkał. Jego tam po-
byt nosił w początkowym okresie
charakter pewnego rodzaju izolacji,
stosowanej przez rząd brytyjski, a
również i władze amerykańskie od-
mową udzielenia mu wizy do Anglii
i U.S.A., choć rząd kanadyjski kur-
tuazyjnie nie ograniczył jego swobo-
dy ruchu na teryt. Kanady. Znie-
sienie restrykcji tych w stosunku do
osoby gen. Sosnkowskiego nastąpiło
dopiero w 1949 r. na tle zmiany
ogólnego położenia politycznego. Do-
piero wówczas gen. Sosnkowski roz-
winął na terenie U.S.A. wielką dzia-
łalność z trybuny publicznej.

Gończy zwolennik jedności naro-
dowej, czemu dał wyraz w Polsce,
podejmuje gen. Sosnkowski w 1952
roku wysiłek zjednoczenia emigracji
politycznej, co zostało przyjęte przez
ogół społeczeństwa emigracyjnego z
entuzjazmem, ze zrozumieniem stron-
nictw politycznych i początkową
aprobatą Prezydenta Augusta Zale-
skiego. W wyniku tych wysiłków zo-
stał podpisany dnia 14 marca 1954 r.
Akt Zjednoczenia i złożony do za-
twierdzenia Prezydentowi Zaleskie-
mu, z postawioną równocześnie kan-
dydaturą gen. Sosnkowskiego mia-
nowania na stanowisko Prezydenta
Rzeczypospolitej. Prezydent nie pod-
pisał obu tych aktów. Gen. Sosnkow-
ski wrócił do Kanady, skąd do końca
życia nie przestał występować sło-
wem i piórem w obronie praw Polski
do niepodległego bytu. Wiara w od-
zyskanie niepodległości Ojczyzny
nie opuszczała go nigdy.

Znamiennym wyrazem tej wiary
była jego wola przedśmiertna po-
chowania urny ze spopielonymi jego
prochami w kościele polskim św. Sta-
sława we Francji w oczekiwaniu na
rychłe umieszczenie jej w wolnej
Polsce.

PRZEPOWIEDNIE są zawsze w polityce rzeczą ryzykowną nawet wtedy, gdy czynią to instytucje „fachowe“, które przeprowadzają ankiety możliwie dokładnie przemyślane i zorganizowane oraz opierają się na uzyskanych w ten sposób wynikach. Przekonały się o tym obecnie w Niemczech rozmaite tego rodzaju instytucje. Rzeczywistość okazała się inna, niż ich przepowiednie. Ale jaka to jest rzeczywistość i jakie z niej płyną wnioski?

Stwierdzić należy przede wszystkim 3 rzeczy: — 1) Okazało się, że Chrześcijańska Demokracja (C.D.U.-C.S.U.) nie zachwiała, mimo 20-letniego i w istocie decydującego udziału w rządach swojej postawy w narodzie, tracąc tylko 3 mandaty (dotychczas 245, obecnie 242). Pozostaje ona nadal bardzo poważnym czynnikiem politycznym, nawet przechodząc do opozycji. Reakcje wyborców w stosunku do ugrupowań będących długie lata u steru bywają na ogół znacznie silniejsze. Okazało się, że nawet prezes partii C.D.U. Kurt Georg Kiesinger mimo ostrych ataków na jego przeszłość hitlerowską nie stracił zaufania partyjnej masy wyborczej. Ostatni z tych ataków — artykuł w „Frankfurter Rundschau“ z 6 września — wyliczył szczegóły tej przeszłości bardzo obszernie, a autor, redaktor naczelny tego pisma, wezwał Kiesingera do wytoczenia mu procesu, zapowiadając wszelkie dowody. Ale Kiesinger nawet nie drgnął.

Nie tego rodzaju motywy wpływały więc na wyborców, chociaż niepowodzenie skrajnie prawicowej i silnie zabarwionej ideologią hitlerowską partii N.P.D. („Nationaldemokratische Partei Deutschlands“), na której czele stoi dość już dzisiaj osławiony Adolf von Thadden, wskazuje na to, że — tak jak obecnie wyglądają stosunki — naród niemiecki nie życzy sobie powrotu hitleryzmu, względnie podobnych do niego prądów, do władzy. I to jest zrozumiałe, gdy się uwzględni fakt, że wyniki rządów hitlerowskich były straszne nie tylko dla narodów, które hitleryzm pragnął ujarzmić względnie nawet wytepić, ale również wskutek przegranej wojny dla samych Niemców. Niemcy wiedzą doskonale, że tym razem reakcja państw demokratycznych byłaby prawdopodobnie —

JERZY DROBNIK

PO WYBORACH W NIEMIECKIEJ

po doświadczeniach z Hitlerem — znacznie szybsza, niż swego czasu przeciwko jego rządowi, gdy jej właściwie w praktyce wcale nie było. Fakt więc, że partia p. von Thadden nie uzyskała 5% głosów, potrzebnych konstytucyjnie, ażeby jej przedstawiciele mogli wejść do „Bundestag“u, musiał wyrzucić i wywarł też zagranicą dobre wrażenie, chociaż nie należy zapominać, że w stosunku do wyborów z roku 1965 podwoiła ona uzyskany procent głosów (z 2.0% na 4.3%).

Bardzo natomiast należy podkreślić należy wzrost głosów socjalistycznych (z 39.3% na 42.7%), co partii tej przysporzyło 22 mandaty. Będzie więc ona miała 224 posłów zamiast dotychczasowych 202. Jest to dla nas, Polaków, o tyle interesujące, ponieważ w przeciwieństwie do C.D.U./C.S.U., na której czele stoi Kiesinger, względnie nastrojony konserwatywnie i nacjonalistycznie Bawar Franz-Josef Strauss, i która w stosunku do granicy na Odrze i Nysie zajmowała zawsze negatywne stanowisko, w partii socjalistycznej pojawiły się głosy i tendencje do zmienienia stanowiska Niemiec w tej sprawie. Przypomnijmy w tym związku artykuł rządzącego burmistrza Berlina zachodniego socjalisty Klauusa Schütza („Die Zeit“ z 27.6.1969), a ostatnio także artykuł poprzedniego rządzącego burmistrza zachodniego Berlina, również socjalisty, Henryka Albertza. Podobnie jak Schütz udał się on do Polski i ogłosił w „Frankfurter Rundschau“ z 15 września br. artykuł, w którym powiada dosłownie: „Złoty wrzesień nad Polską był pełen nadziei. Prawie za dużo nadziei. W tej nadziei mogłem jeszcze właśnie odpowiedzieć na wszystkie, również bardzo krytyczne pytania. Byłoby straszne, gdyby zabrakło odpowiedzi osób odpowiedzialnych po wyborach“. Przyznał on słusność swoim polskim rozmówcom, że przejście przez „Rubikon uznania granicy na Odrze i Nysie“ mogłoby być „wejściem w ostateczny porządek europejskiego pokoju“.

No, zobaczymy. Jedno jest pewne, że w niemieckiej partii socjalistycznej

istnieją prądy, które, o ile nie zostaną zahamowane, mogły by doprowadzić do zmiany stosunków polsko-niemieckich na lepsze. A trzeba też zauważyć, że prądy te, które znalazły wyraz nie tylko w wymienionych powyżej artykułach, zgoła nie zaszkodziły partii socjalistycznej w opinii wyborców. Terror Związku Wysiedleńców aż do jej szeregów nie sięgnął. A może niektórzy politycy niemieccy — jak zwłaszcza też Kiesinger — go przeceniali. Musimy się jednak mimo wszystko w tych warunkach liczyć z tym, że pewną część wyborców, która może byłaby wzmocniła szereg N.P.D., zasilila szereg C.D.U./C.S.U., o co chodziło Kiesingerowi przy jego wystąpieniach przeciwko uznaniu granicy na Odrze i Nysie. Ciekawą jednak jest rzeczą, czy obecnie, gdy bezpośrednio względy wyborcze już nie grają roli, nie stanie się on — mimo swej przeszłości — przystępniejszy do rozumowania bardziej trzeźwego. Sukces socjalistów powinien zarówno Kiesingera jak też jego partię w tym kierunku niejednego nauczyć.

Pozostaje do omówienia sprawa partii liberalnej (F.D.P.), która, tracąc 19 mandatów, liczyć będzie dzisiaj 30 posłów zamiast 49. Wynik ten jest niewątpliwie objawem trudnego z punktu widzenia ideologicznego stanowiska tej partii. Liberali niemieccy w ogóle różnili się od liberalnych ugrupowań innych krajów. Istniały w ich grupie zawsze dwa odłamy: Jeden w istocie bardzo nacjonalistyczny, a z punktu widzenia gospodarczego konserwatywny, drugi bardziej lewicowy i na wewnątrz, zwłaszcza pod względem światopoglądowym, wolnościowy. Tak było już za czasów Republiki Weimarskiej i ten stan rzeczy zaznaczył się w partii również dzisiaj. Sytuacja stała się o tyle trudna, ponieważ z gospodarczego punktu widzenia szerokie masy niechętnie widzą zupełną wolność prywatnej inicjatywy, która umożliwia nadmierną koncentrację sił gospodarczych w rękach jednostek, a w dalszym ciągu powstawanie koncernów. Z drugiej zaś strony społeczne i ideologiczne dążenia wol-

REPUBLICIE ZWIĄZKOWEJ

B.D.I.C

nościowe nie są dzisiaj zagrożone w krajach o ustroju demokratycznym. Toteż „liberalizm“ przestał być wyłącznym udziałem partii liberalnej, a nacjonalizm znajduje znakomite ujście nie tylko w N.P.D. p. von Thadden, ale nawet w C.D.U./C.S.D. Jeżeli chodzi o Polskę, to od jakiegoś czasu pojawiają się wśród liberałów głosy za koniecznością uznania granicy na Odrze i Nysie, bardzo jeszcze nieśmiało, ale dowodzące jednak pewnych w tym kierunku rozwojów.

Nawiasem tylko dodajmy, że z liczących małych partyj i partyjek nie nie pozostało. Jeszcze w maju br. „Biuletyn Prasowy i Informacyjny“ (numer 66) rządu w Bonn stwierdzał, że u prezydenta Związkowego Urzędu Statystycznego jako według ustawy Związkowego Kierownika Wyborów zgłoszono 20 (dwadzieścia) partyj, co oczywiście jeszcze nie oznaczało, że wszystkie odpowiadały ustawowym wymaganiom i że zostałyby do wyborów dopuszczone. Toteż już wtedy było wiadomo, że wiele z nich nie może mieć żadnej nadziei, a niektóre wykruszyły się same jeszcze przed wyborami. Ale jednak takiego „wymazania“ ich z rzeczywistości przez wyborców nie wszyscy się spodziewali. W ostatecznym wyniku liczą się już dzisiaj tylko trzy partie przez nas wyżej wymienione, a więc Chrześcijańska Demokracja (C.D.U./C.S.U.), socjaliści (S.P.D.) i liberalowie (F.D.P.), a ostatecznie, chociaż nie będzie miała przedstawiciela w „Bundestagu“, Partia Narodowo-Niemiecka (N.P.D.). Podkreślić należy, że przegrali zupełnie komuniści, którzy — przez czas jakiś byli zakazani — po cofnięciu zakazu wystąpili do wyborów pod nazwą „Akcja dla Demokratycznego Postępu“ (A.D.F.) i uzyskali aż — 0.6% głosów!! Na wszystkie inne grupy i grupki pozostało 0.5%, co równa się ich zupełnemu skreśleniu z życia politycznego Niemiec.

Jak w tych warunkach zarysowuje się przyszłość? Były 3 możliwości utworzenia rządu: Powrót do dawnej koalicji C.D.U.-C.S.U.S. oraz P.D., co w praktyce oznaczałoby rządy bez opozycji, którą stanowiłoby tylko 30 liberałów. Ale ta możliwość

nie miała z góry widoków, zważywszy przede wszystkim wyraźne tendencje socjalistów do zmiany oblicza polityki niemieckiej, po dzień dzień mającej charakter w swoim rodzaju zachowawczy.

Dotychczasowa koalicja chadecko-socjalistyczna nie miała poza tym głębszej podstawy. Socjaliści traktowali ją — a zwłaszcza prezes partii Willy Brandt, zajmujący w rządzie Kiesingera stanowisko wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych — jako rodzaj „praktyki“ rządzenia, od którego partia w okresie opozycji zbytnio się odwyżyła. A brak takiej praktyki na każdej grupie politycznej, będącej za długo w opozycji, wywiera wpływ ujemny, spychając ją zbyt wyłącznie w dziedzinę teorii, osłabiając niejako w ten sposób jej „muskulę“ i „wyobcowując“ ją z rzeczywistości.

Istniała druga możliwość: Koalicja CDU/CSU z partią liberalną i skazanie socjalistów na opozycję. Większość byłaby nawet trochę większa, niż przy trzeciej możliwości tzn. koalicji socj.-liberalnej (272 posłów na ogólną liczbę 496). W kierunku drugiej możliwości Kiesinger uczynił próbę, ale zarzucano mu, że uczynił to niezbyt zgrabnie. Powód niepowodzenia tej próby jest jednak głębszy, niż niezgrabność taktyczna. Trzeba sobie bowiem uświadomić dwie rzeczy:

Po pierwsze fakt zwycięstwa wyborczego socjalistów (224 mandaty) zamiast dotychczasowych 202) ma silną wymowę i trudne byłoby do pomyślenia zmuszenie jedynej w rzeczywistości zwycięskiej partii do opozycji. I to tym bardziej, że partia ta wyraźnie dążyła i dąży do rządów i posiada przywódców bardzo poważnych, jak chociażby wymieniany już przez nas Willy Brandt. A z drugiej strony w partii liberalnej, w której czynnik konserwatywny doznał w wyborach wyraźnego osłabienia, nie było entuzjazmu do łączenia się z Chrześcijańską Demokracją, aczkolwiek istniały w niej również pewne opory przeciwko łączeniu się z socjalistami.

Ostatecznie, w chwili, gdy piszemy te słowa, decyzja zapadła. Na po-

siedzeniu partii liberalnej, liczącej obecnie 30 posłów, uchwalono przystąpić do koalicji z partią socjalistyczną 27 głosami przy 3 wstrzymujących się.

Willy Brandt będzie więc — o ile otrzyma inwestyturę „Bundestagu“ — kanclerzem, a liberal Walter Scheel wicekanclerzem i ministrem spraw zagranicznych. Zważywszy, że prezydent Niemieckiej Republiki Związkowej Gustaw Heinemann jest socjalistą, będzie można mówić — aczkolwiek konstytucja nie przyznaje prezydentowi żadnych praw rządzenia — o pojawieniu się innego niż dotychczas zaborwienia oblicza politycznego Niemiec Zachodnich. Byłby to dopiero teraz rzeczywisty koniec „ery Adenauera“.

Jak się to uwydatni w praktyce, trudno jest dzisiaj już powiedzieć, bo wszelkie przepowiednie w polityce, jak to już wspomnieliśmy, bardzo niebezpieczne. I to tym bardziej, ponieważ nowa koalicja rozporządza w „Bundestagu“ bardzo nieznaczną większością (254 głosów na 496) i nie wiadomo, czy uda się Brandtowi powiększyć ją przez uzyskanie prawa głosu dla posłów z Berlina Zachodniego, mających dotychczas tylko prawo obecności. Możliwe są więc zawsze niespodzianki.

Ale jest rzecz inna, którą należy podkreślić: Otoż wybory obecne były prawdopodobnie ostatnimi wyborami, którym ton rozstrzygający nadało starsze pokolenie wyborców, to, które przeżyło wojnę i w którym grają zawsze jeszcze tak czy inaczej poglądy i wyobrażenia przedwojenne. Bardzo ciekawy na ten temat artykuł ukazał się jeszcze przed wyborami w znanym tygodniku chrześcijańsko-demokratycznym „Rheinischer Merkur“ (numer 38), ukazującym się w Kolonii. Autor, Gerhard Reddemann stwierdza, że młodsze roczniki, które obecnie przystępują do wyborów, są liczebnie słabe, wywodząc się z okresu wojennego i nie mogły odegrać większej roli. Z drugiej strony roczniki, urodzone jeszcze przed pierwszą wojną, osiągnęły bardzo duży potencjał wyborczy i te właśnie roczniki odegrały rolę rozstrzygającą w obecnych wyborach. Ale to się szybko zmienia i w przyszłych wyborach punkt ciężkości

(Dokończenie na str. 6)

Przycicha już trochę ożywiona przed paroma miesiącami dyskusja, której tematem były możliwości porozumienia i określenia wzajemnego stosunku między Krajem i Emigracją. Chodziło w niej przede wszystkim o zdefiniowanie, czym są te dwa odłamy, odmiany czy formy tego samego w gruncie rzeczy społeczeństwa; jak dalece Polacy znajdujący się po obu stronach kurtyny zwanej żelazną pojmują przynależność do tej (samej) jedności — tworu dyskusyjnego — przez jednych traktowanej pojęciowo — idealnie, przez innych realnie.

Zdarzyło się kilkakrotnie w ciągu niezbyt odległej przeszłości, że części narodu, znajdując się w odmiennych warunkach rozwoju po pewnym czasie w znacznym stopniu zatraciły cechy wspólne. Stany Zjednoczone, Kanada, Anglia, Francja, jednym słowem Stary Świat Europy. Nam chodzi o poznanie prawidłowości podziału społeczeństwa polskiego w sytuacji zaistniałej po skończeniu wojny; albo a contrario, możliwości istnienia tego samego i uznania różnic za nieistotne.

Poniższe uwagi, odnoszące się do tego samego tematu stanowią zbiór wrażeń odniesionych podczas trwania dyskusji; bezpośrednim impulsem były wypowiedzi ogłoszone w „Kulturze“ paryskiej w okresie od lutego do kwietnia bieżącego roku.

PO WYBORACH...

przesunie się wybitnie w kierunku roczników, dla których wojna i głód powojenny należeć będą do historii. Nie będą one już miały „kompleksu niepewności“, co oczywiście wybitnie wpłynie na stosunek tych roczników do wszystkich ugrupowań, które będą się uparcie trzymały hasła: „Żadnych eksperymentów!“.

A więc zdaniem autora perspektywa zmian. Oczywiście, nie można przesądzać, jakie to mogą być zmiany i w jakim pójdą kierunku. Ale spostrzeżenie jest niewątpliwie trafne. Przewrót ostatnich dziesiątków lat jest zbyt głęboki, ażeby mógł przejść bez śladu w umysłach nadchodzącego pokolenia, które za kilka lat już wkroczy w coraz silniejszej mierze na arenę życia politycznego.

Dlatego dzisiaj jeszcze, gdy rozstrzygają o polityce Niemcy ludzie uformowani w dawnych warunkach,

ADAM PODGÓRSKI

NA POGRANICZU

Nie jest moim celem przeprowadzenie szczegółowej krytyki wypowiedzi Jana Matisa i Pauliny Preiss; doceniając w pełni znaczenie elementów wniesionych przez nich do dyskusji, pragnę zakwestionować te fragmenty, które nie zrozumiane lub zrozumiane fałszywie nie tylko nie służą porozumieniu, lecz wywołują utrudnienie w dialogu między omawianymi częściami społeczności.

PARA DYSKUTANTÓW A RZECZYWISTOŚĆ

Rzeczywistość stanowią w tym wypadku poglądy i opinie społeczeństwa polskiego na temat emigracji. Nie są one przedstawione wystarczająco jasno i rzetelnie, powodując powstanie obrazu niepełnego i niezbyt prawdziwego, a jeżeli nawet zbliżającego się do prawdy, to „prawdziwością“ swoistą, zagrzebaną w gąszczu drugorzędnych szczegółów i tonącą w morzu kompleksów. Do kategorii tej należą zwłaszcza uwagi na temat przeliczeń bankowo-szmuglerskich, sweterków, pasty Colgate i innych „przedmiotów zbytku“ powtarzające się w artykułach Jana Matisa i Pauliny Preiss i mające być odbiciem polskich poglądów. Według tej kon-

cepcji, przedmioty codziennego użytku posiadane przez ludzi mieszkających na emigracji są „kością niezgody“ i przedmiotem zazdrości. Jednak wiadomo, że na ogół tak nie jest. W artykułach tych trudno połapać się, co jest dla autorów motywem przewodnim, a co swoistymi ozdobnikami w melodii nuconej na własny sposób.

Wydaje się, że w dyskusji tej trzeba zrobić wysiłek, by odrzucić cały balast wzajemnych żali i zadrażeń — kto wie, czy nie najsilniejszy prąd w wymianie zdań ocierających się o pogranicze dwóch społeczności: krajowej i tej drugiej zwanej emigracją, czasem również Niewiadomą. Przeważnie najsmakowitszymi fragmentami rozmów angażujących obie strony są mnożone do nieskończoności przykłady niewdzięczności, zawiści, niezrozumienia lub sprzedajności — zależnie od położenia geograficznego miejsca rozmowy. I gdy będziemy zastanawiać się nad tym, co mogło by wydawać się śmieszne, dziwne i nie do przyjęcia, wcale nie musimy mówić o Kraju i Emigracji; podobne rozmowy i nawet przykłady są o tyle powszechne, że toczyć się mogą w każdej kolejce do sklepu; cechą swoistą i polską jest panowanie poglądu zawierającego się w prostej zasadzie „nikt, kto nie jest mną (lub nami) nie może być bez skazy“ — obojętne jest i pozbawione znaczenia, czy mieszka w Londynie, czy na tej samej klatce schodowej. Konsekwentne przedłużanie listy wzajemnych przewinień jest wchodzeniem w ślepią uliczkę i niczym więcej. Zresztą w realizacji poprzedniej myślę, że byłaby pewna liczba osób mogących mieć pretensje do „angielskiej“ rodziny o coś więcej niż używanie żyletek „silver“; do miejscowych zaś przyjaciół o coś poza głoszeniem poglądów powszechnie zwanych bzdurami. Ale po co? Po pierwsze, jak się powiedziało, nikt nie ma prawa być w porządku, po drugie, nie o to chodzi. W prowadzonych rozpatrywaniach poruszenie tego rodzaju „urozmaiconych przykładów z życia“ unikane być powinno jako szkodliwe i nie przynoszące nic.

Zakładając znajomość spraw krajowych wśród dyskutantów, całą

ZROZUMIENIA

B.D.I.C

uwagę można skierować na zagadnienie określenia emigracji w oczach Polaków, uwzględniając przy tym zdania tych, którzy chociaż wychowani w Polsce, obecnie związani są z nią wspólnym istnieniem poza Polską.

„Niewiadoma“

Emigracja. Twór niezidentyfikowany. Całość. Fragmenty, łamigłówek. Trójkąt. Koło.

Zaczęły się lata wcześniej, już wtedy, gdy dorastały dzieci „obciążone“ zamorskim pokrewieństwem lub przyjaźnią. Przy każdym zetknięciu w grupie tej padały pytania, odnoszące się do miejsca pobytu krewnych, czasem rodziców. I czasem było wiadomo. Ci, co „mieli“ w Ameryce stwarzali skojarzenie z forszą, paczkami, krążownikami szos; Francja nie kolarzyła się jasno z niczym określonym, ale coś tam było wiadomo, Niemcy — zapadała cisza, lecz przy wspomnieniu Anglii lub Londynu nie było nic, nawet ciszy, wszyscy rozchodzili się i nic nie było wiadomo. Budziły się pierwsze rozróżnienia między tradycyjną Polonią i czymś innym, co stanowiąc również skupisko zagraniczne różniło się od niej znacznie. Zaczęły wyrabiać się poglądy o Radiu Wolna Europa i dotknięciu czy podmuchu wolnego świata. Potem minęły lata, czerwone maki zaczęły zakwitać cicho, potem coraz głośniejsz; inwazja Aliantów przestała być akcją pomocy Hitlerowi a Dywizja Pancerna należeć do sił faszystowskich. Naród otrzymał w drodze łaski dar w postaci książeczek zwanych paszportami. Zobaczyło się od środka. Prawda, że nie wszyscy zdołali opuścić jeszcze „podziemia restauracji“, gdzie, tak po prostu dla rozrywki, przez 12 godzin dziennie zabawiali się zmywaniem talerzy i przenieść się do jednopokojowych mieszkań, by żyjąc na Assistance Board z ulgą zżegnać każdy upływający dzień. Wtedy właśnie społeczeństwo polskie „dowiedziało się“ o tych, co dumni i niezwycześni, na co dzień zwyciężani przez niedostatek i warunki życia. Skutek miał być oczywisty, i w myśl strofy „miałś Chamie złoty róg“. Tak rozumiała to prasa oficjalna; „przestępcy“ i

„niedoszli kapitaliści“ mieli być potępieni i niechybnie, po prostu na zasadzie tej, że zawsze należy potępić tego, któremu się nie udało.

Ale właśnie zaczęli po krótkich odwiedzinach powracać ludzie i nie stało się tak. Sprawa nie wzbudziła sensacji przewidywanej i oczekiwanej. Mimo wszystko ludzie pamiętali niedawne czasy okupacji; nie ludzili się zresztą nigdy, że Anglicy albo ktoś inny da ich braciom z własnej woli łatwe życie, samochody, domy i wszystko co sam posiada. Zamiast szampana i koniaku była whisky i to również było oczywiste. Znalazienie Polaka śpiącego na ławce w parku, tulącego do siebie butelkę też nie wzbudziło sensacji. Nawet gdy podawane było jako dowód sytuacji typowej. Tu również wiedzano, że Polak, który nie mogąc powrócić, nie mogąc też jechać nigdzie indziej — wybiera sobie podróż krótszą i również w nieznaną jak ci, co po powrocie do domu widzieli rosyjskiego żołnierza rozbijającego bagnetem ściany w poszukiwaniu złota, i myśleli, że pociąg zawiózł ich za daleko na wschód.

Ale Polacy wiedzą w Polsce o emigracji więcej niż pan Matis myśli lub chce przedstawić. Być może nie orientują się w różnicach między „Zamkiem“ i „Zjednoczeniem“, „Kulturą“, Wolną Europą i Londynem; może nie wiedzą, że „Ognisko“ to nie ambasada Polskiej Wolnej i że ludzie zmieniają poglądy tak, jak zmieniają się ich twarze i czasem nazwiska. Gdy jednak myślą o emigracji jako o całości nie myślą się wiele. Gdyby nawet różnice były znane i tak nie powodowałyby to zmiany w stosunku do emigracji, której zadanie, wbrew pani Preiss nie polega na eksperymentowaniu politycznym lub ułatwianiu zaproszeń i przysyłaniu prezentów.

Szczególny atak pary rozpoczynającej dyskusję był skierowany przeciwko ośrodkowi londyńskiemu. Główny zarzut polegał na tym, co można by określić jako „bezproduktywność istnienia“ tego odłamu emigracyjnego. Wypowiedzi te nieudowodnione, poparte były jedynie przykładami takimi jak nieznamość

„Dziennika Polskiego“ w Kraju, słabym poziomem ogółu pism emigracyjnych wydawanych w Londynie itp. Rozważanie to zakończone było czymś w rodzaju sądu ogólnego, że ośrodek londyński nie istnieje jako poważny przeciwnik w opozycji. Polemika z powyższymi przykładami nie na wiele się przyda. Nie wiem, czy rzeczywiście artykuły Jana Matysa i Pauliny Preiss napisane były w Polsce, mimo istnienia wielu sugestii wskazujących na to, można jednak stwierdzić z całą pewnością, że nie zostały napisane w Londynie. Nie mówiąc już o ilościowej proporcji przyjeżdżających do Anglii i do innych krajów Europy Zachodniej, istnieje pewne porównanie jakościowe. Nie szukając i nie wypytując się, na codzień można usłyszeć opinie Polaków znających dobrze skupiska polskie na świecie, że Londynu nie można porównać z żadnym innym. Zdaniem ich tutaj można dowiedzieć się najwięcej, tutaj istnieje autentyczne polskie życie, prawdziwe zainteresowanie Polską. Ważne jest też oddziaływanie bezpośrednie tego ośrodka na przyjeżdżających, kształtujące sądy o aktualnych wydarzeniach politycznych i zmuszające do krytycznego myślenia. Gdy nawet wpływu tego nie można porównać z tym, jaki ma Radio Wolna Europa, ze względu na zasięg i inne cechy szczególne, zdaniem przyjeżdżających cele R.W.E. i emigracji londyńskiej określane są podobnie. Utrzymywanie w Polsce świadomości, że możliwy jest inny świat poza tym, jaki oglądają na codzień.

Niezależnie od kształtowania się głosów w dyskusji należy zwrócić uwagę na fakt, że zabrało w niej udział bardzo mało osób. A szkoda. Gdyby umożliwiono pisemne wypowiedzenie się szerszej liczbie osób, zwłaszcza tych, którzy ostatnio z Polski wyjechali, prawdopodobnie obraz byłby szerszy i przez wzajemne wykluczania i uzupełniania bardziej obiektywny. Selekcja wypowiedzi spowodowała wysoki poziom dyskusji, bardzo jednak jednostronny.

W OCZACH „NOWEJ EMIGRACJI“

O ile zakwestionowanie powołanych wyżej sądów może przyjść zarówno ze strony „krajowców“ jak i

(Dokończenie na str. 8)

emigracji, istnieje jeszcze problem przyjęcia lub sprzeciwu przez część emigracji, którą można by nazwać „nową“.

Osoby wyjeżdżające z Polski w pewnym procencie pozostają na Zachodzie na stałe i podjęcie tej decyzji jest /wynikiem przemyśleń wzajemnego układu Kraj—Emigracja Opiera się na znajomości różnic i podobieństw — jednym słowem — znajomości obu stron medalu.

Nawiązując w tym miejscu do artykułu Kazimierza Sabbata (Kultura, 4/68), stanowiącego w pewnym sensie odpowiedź na zarzuty stawiane emigracji, można określić go jako obronę emigracji tradycyjnej, zorganizowanej, dawnej; związanej wspólnymi przejściami i prawie jednolitą koncepcją polityczną. Obrona ta jednakże nie obejmuje wszystkich uchoźców, zwłaszcza posiadających odmiennie, co niekiedy znacząco przeciwne poglądy. Jednak poglądy grupy czy grup, których przebywanie poza Polską liczy się na lata nie na lat dziesiątki stoją w najjaskrawszej sprzeczności nie z ogółem poglądów emigracyjnych, lecz właśnie z wypowiedziami ogłoszonymi w „Kulturze“. Nie znaczy to jednak, że rację ma pan Matis twierdząc, że przyjeżdżający nowi emigranci starają się nagiąć do poglądów swoich mocodawców. Nie jest tak z dwóch powodów: po pierwsze ci, którzy się nie starali i nie dali nagiąć do poglądów wpajanych w Polsce są uodpornieni na tego rodzaju naciski. Posiadając swój własny sąd, krytycznie nastawieni do każdego otoczenia, nie są skłonni przyjmować nagle a priori poglądu cudzego. Po drugie, w zasięgu wspomnianych osób nie znajdują się jacykolwiek „mocodawcy“ pragnący skorzystać z ich usług.

Na łamy „Kultury“ natomiast łatwo się dostać tylko pewnej kategorii ludzi, jeśli chodzi o publicystykę bezpośrednio związaną ze sprawami krajowymi. Należą do nich Gruby, Matis wielu innych mało różniących się między sobą. Posiadają oni cechę wspólną, mianowicie przedstawiania opinii nielicznych grup w Polsce jako poglądów powszechnych. Pociąga to za sobą sytuację, że poglądy rzeczywistości popularne wcale nie są reprezentowane co nie może wyjść na niczyją korzyść. Wydawało by się, że

w Polsce mieszkają albo rozczarowani komunizmem, którzy jednak wcześniej wierzyli w niego, albo też „działacze postępowi“ zmierzający do „uzdrowienia i naprawy“ socjalizmu. To, że większość wie, iż niczego tu naprawić się nie da, mija jakoś niezauważone, może jedynie wywołując zdziwienie studentów przygodnie czytających „Kulturę“ podczas odwiedzin wakacyjnych. Opinię tę można traktować jako przyczynek do rozważań na temat przydatności i roli Instytutu Literackiego i jego miesięcznika. Jedynym wyjątkiem w ostatnich czasach był list otwarty Tyrmanda do Juliusza Mieroszewskiego. Stanowił on dowód rzetelnej krytyki zawierając sformułowania najbardziej zbliżone do tego, co obecnie myśli się w Polsce.

Łącząc doświadczenia i obserwacje z lat spędzonych w Kraju z odnoszonymi obecnie za granicą, setki ludzi na co dzień zastanawia się nad możliwościami i celem dialogu Kraj-

Emigracja. O ile nie decydują się na porzucenie zainteresowań Polską i wejście w życie miejscowe, problem ten dotyczy ich najbardziej nagromadzając wnioski liczniejsze i chyba głębsze niż przy przypadkowym zetknięciu się z tematem. Istniejąc jako emigranci, nawet przy zachowaniu daleko idących odrębności nowi przybysze włączają się w grono emigracji dawnej. Powstaje mnóstwo wzajemnych powiązań i uwarunkowań. To wspólne istnienie i życie się wskazuje na możliwość porozumienia między dwoma odłamami społeczeństwa polskiego; przybysze nie zatracili cech nabytych w Polsce, o ile są one godne kultywowania; emigracja nie poszła w tej relacji na żadne kompromisy. Faktyczne realne współżycie jest zachętą do dalszego prowadzenia dialogu; możliwego jednakże tylko przy odrzuceniu nieistotnych szczegółów i zapomnienia o tym co dzieli.

Adam Podgórski

NAJPRAKTYCZNIJSZY PODAREK ŚWIĄTECZNY!

KALENDARZYK KOMBATANTA

na rok 1970

zawiera m.in. kilkaset adresów organizacji polskich w świecie, firm handlowych, daty imienin, mapkę kolejki podziemnej w Londynie. — Cena 8 sh.
KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W. 7.

GRYF PUBLICATIONS LTD

Paweł Zaremba

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

WYDANIE DRUGIE PRZEJRZANE I POPRAWIONE

Cena 45 sh.

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

GRYF PUBLICATIONS LTD.

Już się ukazał

PORADNIK

DLA WYCHOWAWCZYŃ PRZEDSZKOLI

Opracowanie Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego
Zagranicą

KSIĄZKA NIEZBĘDNA W REKACH KAŻDEGO NAUCZYCIELA
POLSKICH SZKÓŁ SOBÓTNICH

Do nabycia:

Cena: 10/-

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

ALA I JEJ WŁASNY HIPPY

NAPRAWDĘ, Babciu, jesteś niepoprawna! To wszystko kosztuje ciężkie pieniądze, a ile pracy, żeby to utrzymać w porządku, a ty jakby nigdy nic, znów zabrudziłaś dywan i zaplamiałaś obicie fotela“ — powiedziała Ala ze złością i pobiegła do kuchni po ściereczki, detergenty i miotelkę. Dywan był jedwabisty, jasno-niebieski w wielkie kwiaty, z tych najnowszych chińskich, a obicie z ciemnego aksamitu, droższego niż w willi sąsiadów. Prostymi liniami ciągnęła się na całą długość salonu mahoniowa biblioteka, a w niej jak żołnierze grube tomiska o niezrozumiałych tytułach, spektroskopii, radiacja, fluoryzacja... Ani jednej porządnej książki, żeby popląkać się, pośmiać, pomyślała Babcia, podnosząc się ciężko z fotela, żeby nie przeszkadzać Ali w usuwaniu śladów jej niezręczności. Na kryształowym talerzyku żółcił się nie dojezdzony kawałek nieapetycznej babki, suchej jak pieprz. „Grzech wziąć tego do ust, Ala w życiu nie upiekła ciasta, szkoda jej było drogiego czasu“, otrząsnęła się z obrzydzeniem starsza pani.

I zapaliła papierosa. Ala zabrała jej spod ręki popielniczkę Murrano lśniąca rubinowym blaskiem, przyniosła od zawsze przeznaczoną dla Babci starą drewnianą z wypalonymi plamami. ...Adaś zabrał ją z dumy, zaraz po ich ślubie, przyzwyczaiłem się do niej, powiedział. Jeszcze jeden z twoich gratów, chciała Ala wyrzucić popielniczkę, potem rozmyśliła się, niech zostanie dla Babci, szkoda brudzić nowe kosztowne...

„Babcia naprawdę za dużo pali, zawsze pełno dymu, popiół, niedopałki, meble się niszczą, nie można tak, trzeba dbać o rzeczy“ — nie wiadomo który to już raz Ala wyrecytowała swoje credo doprowadzonego do absurdu kultu rzeczy. Brązowe skórzane spodnie opinały Ali wciąż jeszcze wąskie i wysokie uda: staranna fryzura stanowiła kombinację przereźdzonych włosów własnych i przyczepki, tego samego ciemno-złotego koloru jak czupryna Władzia. „W takim uczesaniu wyglądam szlachetnie“, mówiła Ala, i

od fryzjera do fryzjera nie dotykała grzebieniem skomplikowanej koafiu-ry. Jak zawsze, była doskonale umalowana, ale warstwy pastelowych kremów nie mogły już ukryć nieświeżej cery i sieci zmarszczek, koło oczu, koło wąskich ust. „O wiele za dużo tych zmarszczek jak na czterdziestoletnią kobietę, nawet ja mam mniej; mówiłam jej, co za dużo to niezdrowo, ale gdzie by tam dała się przekonać teściowej, kiedy i z własnymi rodzicami nie liczyła się“, myślała Babcia, obserwując krytycznie synową.

Rozmowa wlokła się leniwie razem z dymem papierosów, podszyta kolcami niedopowiedzeń. Jak długo ona może opowiadać o swoich sukcesach, o nowej szafie w ścianie, o jeszcze jednej kiece; nawet nie spytała o Adasia, o Władzia, jaki to twardy człowiek, taka była i taka została, nic jej nie zmieni — snuło się Babci po głowie, gdy odpalała jednego papierosa od drugiego, bardzo uważnie, żeby aby popiół nie spadł na aksamity. W końcu i Ali znużyło się zabawiać teściową, otworzyła telewizję, żeby zapchać dziury przemilczeń. Kolorową telewizję, naturalnie, ostatni model.

Natychmiast rozkrzyczał się salon, gwałt i kolor zeszyły z ekranu w niewygodny spokój pięknego pokoju. Hipisi w egzotycznych strojach, z fantastycznymi koafiu-rami, szamotali się z policją w hełmach i w maskach gazowych. Wyrzucali ich z jakiejś rudery, którą bezprawnie okupowali. Porządek musi być. „Jak małpy!“, krzyknęły obie kobiety jednocześnie, tylko, że Babcia miała na myśli policjantów, a Ala — hipisów. „Naziści precz! Do Wietnamu, do Rosji, ja chcę kochać, ja chcę być kochana!“ wrzeszczała nieskładnie dziewczyna w wielkich buciorach i żółtej mikroszpódniczce, nad którą rzucały się gwałtownie obnażone piersi. Owinęty pururową kapą jak rzymską togą, szczupły chłopiec o delikatnych rysach twarzy, starał się wyrwać dziewczynę policjantom, oberwał pałką, zgiął się w pół z bólu, widać było tylko szopę złotych loków nad krwistą plamą kapy. „John, ratuj, nie daj zabrać tym sk...“ krzy-

czała dziewczyna, którą policjanci wlekli po ziemi w kierunku Czarnej Marii.

„Popatrz, popatrz, ten niby John to przecież nasz Władzio“, ucieszyła się Babcia. Ala siedziała z zaciśniętymi ustami wbijając wzrok w ekran.

„Nie martw się, nic mu się nie stało, to wczorajsze zdjęcia. Władzio telefonował dzisiaj do mnie, że wszystko w porządku, jedzie ze swoimi hipisami na bezludną wyspę, założą tam komunę“, powiedziała Babcia.

„Straszne! Do czego ten chłopak doszedł! Wyrzutek społeczeństwa, mój syn, ten ohydny pajac w kapie z dzwoneczkami, niepoń, leniuch!“, wybuchła Ala, która dzięki żelaznej sile woli i ciężkiej pracy osiągnęła wszystko do czego dążyła: profesurę i wielkie stanowisko, luksusową willę, Jaguara i piękne stroje. Jednym słowem, **doszła**. Fanatyczka atawistycznego etosu pracy, opętana przez demona kariery za wszelką cenę, całe życie wykazywała typowe dla jej klasy poczucie obowiązku, dyscyplinę i porządek, ale gdzieś w drodze zgubiła babciną wiarę, że człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za siebie samego, ale i za innych, a już przede wszystkim za najbliższą rodzinę. W obłąkanym, międzynarodowym wyścigu „do koryta“ zdobyła czołowe miejsce, ale jej zimny racjonalizm i matematyczne ujęcie ludzkich problemów doprowadziły do tego, że mąż odszedł, a jednak odrzucił wszystkie wartości, które uważała za święte, te dobre i złe na równi. Zamknięta hermetycznie w zaczerpniętym kole nauk ścisłych, krocząca na ślepo drogą konformistycznego egoizmu, nie zwracała uwagi na wstrząsy psychiczne i fizyczne przeżywane przez ludzi, na zmiany i bunt w ludzkiej duszy.

„Ja bym ich wszystkich wytepiła jak pluskwy. Jakie to niewiarygodne, jakie straszne, mój własny syn! Dobrze, że chociaż zmienił nazwisko! I za co mi się to należy, za co?!“ trzęsła się Ala w bezsilnej furii matki, nie mogącej przekazać synowi swoich wielkich cnót, pracowitości, ambicji, wiedzy, spokojnej akceptacji najgorszego... u innych.

„Nie widzę w tym nic strasznego, młodzież musi się wyszumieć, a świat dzisiaj nie taki cudowny, żeby nie mieli buntować się. Władzio to dobre dziecko; dzwoni do mnie, czasem wpadnie, żeby coś zjeść, naprawi co trzeba, pomoże. On bardzo lubi moje naleśniki“, powiedziała Babcia z nieukrywaną satysfakcją. Ala wolała nie słyszeć, powtarzała wciąż swoje, że wyrzutek społeczeństwa, i za co jej się to należy.

„Władzio, to nie wyrzutek społeczeństwa“ — stanęła w obronie wnuka Babcia. On po prostu nie chce żyć w **twoim** społeczeństwie i wcale mu się nie dziwię. Wystarczy otworzyć gazetę, czy telewizję, żeby zobaczyć, **jakie** to społeczeństwo. To jego rodzaj protestu, nie widzę w tym nic złego, przeciwnie, myśmy także w swoim czasie protestowali, tak czy inaczej, chcieliśmy zmienić świat. Że on jeszcze nie wie, jak zmienić, żeby było lepiej, to trudno, młody, ale grunt, że protestuje. Żeby niejacy jak on, to by nasiści znów doszli do władzy, w Niemczech, gdzie indziej, dlaczego nie złościsz się na tamtą młodzież. Ty jesteś bardzo uczona, ale człowieka nie rozumiałaś nigdy i nie zrozumiesz, mimo...“ Babcia urwała w środku zdania. Chciałaby wygarnąć Ali za co to się jej należy, ale nie, tyle razy obiecywała sobie nie dyskutować z nią, wie, że to jak groch o ścianę.

Zasłużyła sobie, i jeszcze jak! — myślała Babcia z goryczą, a przed oczyma przewijały jej się obrazy, ostrzejsze i bardziej kolorowe niż te na telewizji. Władzio-niemowlę, odstawiony po tygodniu od piersi, pod opieką kobiety, której jedyną kwalifikacją było, że sama miała dziesięcioro dzieci. Kobieta raz przyszła, raz — nie, więc Ala oddała maleństwo do „ogródka“ dla starszych dzieci, jeszcze nie mówił, jeszcze moczył się, freblanka tresowała go, dzieci wyśmiewały. Nie chciał chodzić do „ogródka“, bardzo płakał, „mamo“, wołał patetycznie, „maaamo!“; bo więcej nie umiał powiedzieć. Potem szereg niań, służących, lepsze — gorsze, co raz inne, bo Ala z każdą klóciła się, że ta spóźnia się o kwadrans, a tamta zachorowała, kiedy ona, Ala, musi **pracować**, ma swoją najważniejszą pracę, nie może i nie chce siedzieć przy dziecku.

Fajerki w Ali elektrycznym piecy-

ku były zwykle zimne, gdzie by Ala chciała tracić czas na gotowanie czy przygrzewanie ugotowanych potraw, przy co raz większych wymaganiach nauki, przy co raz większej konkurencji. Więc Władzio żywił się chlebem i surówkami, a Adaś nabawił się nerwicy żołądka, jedząc w kantynach i na mieście. Ala pochłaniała tony owoców i wędliny, bo dbała o linię. Władzio był zawsze mizerny, nawet na spacerach nie chodził, bo służące i bez spacerów miały dosyć roboty w przepełnionym mieszkaniu bez gospodyni. „A ty byś biegła za Władziem z bananem i ucierała mu gogiel-mogiel, jak to robiłaś z Adasiem. Dzisiaj inaczej wychowuje się dzieci, muszą być od maleństwa samodzielne, nie mogą przeszkadzać rodzicom w pracy, w ich karierze, czas to pieniądź“, kpiła Ala z Babci, gdy ta robiła jej wyrzuty, że zaniedbuje rodzinę.

A potem zaczęły się jazdy z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, gdzie więcej płacą, gdzie większe stanowisko, czasem cała trójka razem, czasem oddzielnie, nie zawsze karierę Adasia można było połączyć z karierą Ali, rozstawali się więc na krócej i na dłużej. „No cóż, mówiła Ala, świat dzisiaj taki mały, a my — elita mózgow — musimy wybrać najlepsze. Dziecko przyzwyczai się, musi się przyzwyczaić“. Podrzucany wciąż komu innemu, w dziecięcych „ogródkach“, a potem w szkołach z internatem, wciąż w innym otoczeniu z innym językiem, Władzio „tracił“ raz ojca, raz matkę, czasem oboje, na dłużej, na krócej, rodzice musieli mieć przecież wolne ręce i głowy do robienia kariery.

„Zgubiłaś serce w laboratoriach i w biurach, łamiesz rodzinę, unieszczęśliwiasz sama siebie“, denerwowała się Babcia. „Operujesz stroświeckimi pojęciami, chciałabyś mnie widzieć tylko przy kuchni, minęły te czasy“, odpowiadała Ala, niezłomna w dążeniu do swego celu, bez żadnych wątpliwości, pewna siebie nadkobieta w świecie zniewieściałych mężczyzn i męskich kobiet. Kobieta, którym protesty takich jak Babcia zdobyły równouprawnienie, nakładając na nie tym samym ciężary większe niż mogły znieść one same, ich rodziny i w ostatecznym rezultacie — społeczeństwo.

„Teściowa nie powinna się wtrą-

cać“, stawali wszyscy w obronie Ali, takiej zdolnej, takiej pracowitej, zaradnej, logicznej; Ali, która przecieży „doszła“ do celu, osiągnęła wszystko o czym ludzie dzisiaj marzą. „Nie jestem Poncjusz Piłat, nie umiem umywać rąk, to wszystko bardzo piękne, jak się nie krzywdzi nikogo, a ona krzywdzi“, broniła się Babcia, ale co by nie powiedziała i tak padało w głuche uszy.

Wreszcie, jakiś rok temu, podczas jednego z przymusowych rozstań, Adaś, który miał stanowisko w Tokio, związał się z łagodną i ubóstwiającą go Japonką i zażądał oficjalnej separacji. Faktyczna ciągnęła się już od lat, bo „kochać to znaczy dotknąć, zobaczyć“, a dla Ali także miłość i seks musiały podporządkować się pracy i karierze. Na jej zamkniętym podwórku szkoda było czasu na miłość i na seks, które w najlepszym wypadku traktowane były jak pójście do fryzjera czy zabieg kosmetyczny.

„Zbiera co posiała“, pomyślała Babcia, gdy Adaś zaprosił ją i Władzia do Tokio, gdzie nowa synowa, dobra i łagodna dla innych i dla siebie Teiko Kiwa, przyjmowała ich jak królewskich gości. Jak pilnie Teiko uczyła się od Babci, jak gotować Adasia ulubione przysmaki, jak z miłością patrzyła mu w oczy, dbała o jego spokój i wygodę! Po powrocie z Tokio Władzio przestał się uczyć, zerwał z matką, dołączył się do hippies.

Rozezochrany jak nieboskie stworzenie, nie domyty i ubrany w egzotyczne szaty, stanowiące dla hipisów taki sam modny strój, jak skórzane spodnie dla Ali, Władzio starał się wytłumaczyć Babci zmiany. Tłumaczył nieudolnie, nielogicznie, nieracjonalnie, ale z sercem i z wiarą, że to co robi może dać szczęście nie tylko jemu, ale i innym. Mówił, że w coraz cięższym i gorszym wyścigu „do koryta“ ludzie stali się apatyczni na ludzką krzywdę i na ludzkie cierpienie. Mówił o kapsułkach strachu, o niestrawnych dawkach konformizmu, które wyprodukowało dzisiejsze społeczeństwo, pijane osiągnięciami nauki i techniki. Buntował się przeciwko starym jak świat cechom ludzkiego charakteru, jak zawiść, zazdrość, sprzedawanie duszy szatanowi materializmu czy hipokryzji; przeciwko ulokowane-

BARBARZYŃSKIE DEKRETY FRANKA

TRZYDZIESTOLETNIEM rocznicy napadu narodowo-socjalistycznych Niemiec na Polskę prasa emigracyjna, jak i partyjna prasa krajowa poświęciły wiele artykułów, przypominających światu barbarzyńską masakrę bezbronnej ludności cywilnej przez eskadry Göringa. Jednak bodaj najsilniejsze wrażenie wywarł na milionach widzów film, wyświetlony przez BBC, co potwierdziła liczna rzesza oddanych nam szczerze Brytyjczyków, za co, zarówno autorom, jak i reżyserom i komentatorom należy się zasłużone uznanie.

W ślad za przewalającymi się przez Polskę jednostkami armii, wkroczyły do Kraju oddziały Gestapo oraz cała rzesza urzędników administracyjnych z gubernatorem generalnym Frankiem na czele, którym Hitler powierzył misję przeprowadzenia pierwszej fazy eksterminacji narodu polskiego. Droga, z punktu widzenia barbarzyńców „legalną“ tj. drogą specjalnych dekretów, postanowiono zepchnąć ludność pol-

ską na dno ostatniej nędzy. Wyzysk jej sił fizycznych, pozbawienie pomocy z funduszków opieki społecznej, zastrzeżonej wyłącznie dla Niemców i „Volksdeutsche“, mordowanie zakładników oraz masowa zsyłka do obozów koncentracyjnych w kraju i Rzeszy Niemieckiej miały przyspieszyć proces wymieralności ludności polskiej. Opróżniona w ten sposób Polska miała służyć jako „Lebensraum“ dla kolonistów z Rzeszy oraz Niemców sprowadzonych z innych krajów europejskich ujarzmionych przez Niemcy.

Dowodem tej zapoczątkowanej akcji jest fakt, że w okresie pięciu tylko lat zdołano osiedlić na terenie generalnego gubernatorstwa około milion kolonistów niemieckich oraz oświadczenie gauleitera Greisera, że „akcja obecna jest tylko zapoczątkowaniem akcji szerszej, za pomocą której Rzesza niemiecka, po zwycięskiej wojnie rozwiąże ostatecznie, problem polski“.

Zapoznanie nie tylko Polaków z „legalną“ techniką eksterminacji ma-

ją posłużyć przytoczone dekrety. Należy z nimi zapoznać szerokie koła obywateli brytyjskich, wstrząśniętych filmem i komentarzem, zwłaszcza teraz, gdy jedno z czołowych pism angielskich przyniosło seryjny druk książki Alberta Speera, najbliższego współpracownika Hitlera i, jak go określono w artykule wstępnym, twórcy hitlerowskiego potencjału wojennego i obozów pracy przymusowej.

USTAWA O PRACY NARODOWEJ

W 1934 r. narodowo-socjalistyczny parlament niemiecki wydał nową ustawę nazwaną „Gesetz über die nationale Arbeit“ która zawierała znowelizowane przepisy o taryfach płac, dodatkach rodzinnych, urlopach, pomocy macierzyńskiej i opiece dla dzieci i małoletnich. Na tzw. ziemiach inkorporowanych do Rzeszy z dobrodziejstw ustawy korzystali tylko Niemcy i „Volksdeutsche“, zaś na terenie generalnego gubernatorstwa stosowano normy wydane przez

mu w ludzkiej duszy zwierzęciu, którego nie przykryją najpiękniejsze stroje ani najlepsze kremy. „Po co mam się tak spieszyć, do czego? Do jeszcze jednego wybuchu atomu, do jeszcze jednej wojny, do obozu koncentracyjnego, po co? Nie chcę maminej cywilizacji, która urodziła ludobójstwo i duszobójstwo przy pomocy masowych środków; nie chcę żyć jak ona, nie chcę być jak ona, podniecał się Władzio. Wolę jechać na osiółku niż odrzutowym samolotem o ponadgłosowej szybkości, chociaż coś widzę, chociaż z kimś porozmawiam, ktoś się do mnie uśmiechnie, będę miał czas, ludzie będą mieli czas, żeby się poznać, zrozumieć...“.

„A czego właściwie chcesz, Władziu?“ pytała Babcia, podsmażając wygłodniałemu chłopcu naleśniki. Tego Władzio jeszcze tak dobrze nie wiedział; na razie więc tylko protestował, szokował, chciał wyrwać ludzi z narzuconej im apatii, otworzyć im oczy; chciał być inny, żyć inaczej. Powtarzały się w nieskład-

nych słowach młodego hippy anachroniczne, staroświeckie pojęcia, jak niesprawiedliwość społeczna, szczęście, wolność jednostki. W kociołku rozpalonej głowy mieszały się niechęci i pretensje do rodziców, strachy i wątpliwości mnożące się na pożywce nowoczesności, bunt przeciwko co raz to innym krzywdom, starego chowu i najnowszego. Narazie chciał kochać, być kochanym, tańczyć, śpiewać, uprawiać seks — robić wszystko, żeby uciec od niewygodnej terażniejszości, z którą nie mógł sobie dać rady, tak samo jak tyłu innych. Za wielkie tempo, zbyt wielkie napięcie, wymagania nie na ludzką miarę.

„Jedni lekarze przeszczepiają serca, inni wracają do baniek i ziół, dlaczego by młodzi nie mieli wrócić w przeszłość do prymitywnych komórek od anonimowego kolosu, jeżeli to ma im dać trochę szczęścia. Szczęście? Kto ma czas dzisiaj myśleć o szczęściu?, może młodzi znajdą nową formułkę...“ filozofowała Babcia, a na ekranie jej świadomości

galopowały obrazy, roztrzaskiwały się z hukiem obrazy, pełne wrzasku, gwałtu i mocnych kolorów, wyskakiwały obrazy z ram babcinego poematu.

„Gdybym była o 50 lat młodsza, sama bym przystąpiła do hippisów“, powiedziała Babcia do Ali. Po czym z całą premedytacją zrzuciła drewnianą popielniczkę na jasno-niebieski dywan, symbol „dojścia“, i rozkruszyła resztkę kupnej babki. Ogarłki papierosów, popiół i okruszki kryły brzydkimi plamami na aksamitnym obiciu fotela, na pięknym chińskim dywanie. Za Władzia też, i za Adasia... Niech ta mądra Ala pomyśli, dlaczego jej się to należy. I Babcia poszła, żeby w ogrodzie na ławeczce pogadać z kumami, o pogodzie, o chorobach, i jak trudno starym — i młodym też — w dzisiejszym zdehumanizowanym świecie, za dużym dla człowieka, za przędkim dla człowieka, za strasznym.

Ala została sama.

Mina Tomkiewicz

niemieckie urzędy pracy. Niemców i Volksdeutsche uważano za obywateli (Bürger), Polaków za „mieszkańców polskiego pochodzenia, będącymi pod ochroną Niemiec“ (Schutzangehörige polnischer Abstammung).

SPÓŁECZNA DANINA WYRÓWNAWCZA

(Sozialausgleichsabgabe)

W dniu 5 sierpnia 1940 r. rada ministrów dla obrony kraju wydała dekret o specjalnej daninie, który postanawiał, że Polacy zamieszkujący na terenach zajętych przez Rzeszę obowiązani są płacić, począwszy od 1 sierpnia tego roku, specjalną daninę w wysokości 15% od dochodu. Jednak już 10 sierpnia, w rozporządzeniu wykonawczym do tego dekretu, polecono ściągnąć daninę za cały rok 1940, a w dniu 24 grudnia 1940 r. rozciągnięto ten obowiązek również i na Żydów.

DANINA OD MIESZKAŃCÓW

W dniu 6 grudnia 1941 r. gubernator Frank wprowadził jeszcze jedną daninę, podatek pogłówny, oparty na obowiązującym już od kilku nastu lat na terenie Rzeszy pod nazwą „podatek obywatelski“ (Bürgersteuer). Na terenie Rzeszy podatek został zniesiony w 1941 r., za to na terenie generalnego gubernatorstwa podatkiem obciążono każdego „mie-

szkańca“, który ukończył 18 lat kwotą 6 złotych na rok, obojętnie czy był w stanie zatrudnienia czy nie. Dochód z daniny był przeznaczony na pokrycie wydatków na „opiekę społeczną“, w rzeczywistości pokrywano z niego wydatki związane ze sprowadzeniem i urządzeniem na terenie gubernatorstwa Niemców napływających z Rzeszy.

W dniu 16 kwietnia 1942 r. gubernator Frank nakazał pobierać do tej daniny dodatek 200 procentowy, wojenny, który ludność polska płaciła aż do ukończenia wojny.

OBOWIĄZEK PRACY

Zaledwie po dwóch miesiącach od inwazji, tj. w dniu 26 października 1939 r. Frank wydał dekret „O obowiązku pracy polskiej ludności“. Dekret obowiązywał wszystkich mieszkańców od lat 18 do 60 a przykładowo wymieniono rodzaje jak, zatrudnienie w gospodarstwach rolnych, budowa dróg i utrzymanie budynków publicznych, dróg wodnych, torów kolejowych i regulacja rzek. Dalszym rozporządzeniem gubernatora z dnia 14 grudnia 1939 r. upoważniono szefów okręgów administracyjnych (starostów) do rozciągania tego obowiązku również na młodzież od lat 14 do 18. Wynagrodzenie za pracę ustalał arbitralnie niemiecki urząd pracy (Arbeitsamt). Obowiązany do pracy winien był, jeśli urząd pracy tak nakazał, przynieść do pracy narzędzia w jego posiadaniu. Za uchylenie się od pracy groziła grzywna lub więzienie. Za każdy opuszczony dzień pracy, kierownik urzędu mógł wymierzyć 25 złotych kary porządkowej.

OPIEKA SPÓŁECZNA

Wśród ustaw, wydanych w Rzeszy w okresie między 1933 a wybuchem wojny, na uwagę zasługuje ustawa o tzw. podwyższonej opiece społecznej. Podwyższono zasiłki dla b. ofiar wojny, a charakterystycznym było zapewnienie odszkodowania dla osób cywilnych, które mogłyby ponieść szkody na skutek działań wojennych, czy to w strefie wojennej lub na terenie samej Rzeszy, lub poniosły śmierć albo obrażenia cielesne na terenach okupowanych. W nowej ustawie o obywatelstwie Rzeszy (Reichsbürgergesetz) z 4 lipca 1939

roku stworzono pojęcie tzw. grupy „społecznej“ do której, na pierwszym miejscu, zaliczano Żydów, którzy od tej daty nie mogli już korzystać z publicznych funduszy na opiekę społeczną, a tylko z funduszy legalnie uznanych organizacji żydowskich.

U podstaw dekretów, które rząd narodowo-socjalistyczny tłumaczył dążeniem do polepszenia sytuacji ekonomicznej obywateli, leżał, oczywiście, plan zdecydowanej już w 1933 roku wojny. W przewidywaniu, że w przyszłej wojnie zostanie zaangażowany cały potencjał ludnościowy, który ulegnie poważnemu wyszczerbieniu, rząd Rzeszy wydał w dniu 3 XI. 1937 r. nową ustawę „o popieraniu zawarcia związku małżeńskiego“. Środkiem, który miał osiągnąć ten cel były pożyczki dla nowożeńców, na zakup urządzenia domowego. Jednak oboje narzeczeni musieli być krwi niemieckiej lub pokrewnej (aryjczycy), popierającymi przy każdej okazji dążenia narodowo-socjalistycznego państwa. Za każde dziecko odpisywano 25% niezależnie od dodatku na każde dziecko po 10 marek miesięcznie.

Ze zrozumiałych względów Polacy z tej ustawy nie mogli korzystać.

Ustawa o adoptowaniu dzieci z 19 kwietnia 1939 r., którą przez analogię stosowano również na terenach okupowanych, adoptować dziecko mogła tylko rodzina o przekonaniach narodowo-socjalistycznych. Nie mogli adoptować dziecka Żydzi oraz mieszkańcy 1. i 2. stopnia (tj. mieszkańcy i aspołeczni).

POMOC DLA BEZROBOTNYCH

Z końcem grudnia 1939 r. (12 grudnia 1939) gubernator Frank wydał zarządzenie o zasiłkach dla bezrobotnych, określonych jako ludzie, którzy „nie z własnej winy znaleźli się bez pracy i jeśli tej pomocy rzeczywiście potrzebują“, o czym decydował niemiecki urząd pracy. Zarządzenie nie miało znaczenia praktycznego, z uwagi na wprowadzony już obowiązek pracy ludności w wieku od 14 do 60 lat. Mogły jednak zajść wypadki, gdy Polak lub „Volksdeutscher“ znalazł się bez pracy, a wtedy pobierający zasiłek był obowiązany wykonywać pewne prace o charakterze użyteczności publicznej wskazane mu przez urząd pracy. To też wskazanym jest

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

Z E S Z Y T X V I

zawiera m.in. prace:

Z. S. Siemaszko: POWSTANIE
WARSZAWSKIE

A. Cieńciała: POLITYKA BRYTYJSKA
WOBEĆ ODRODZENIA
POLSKI, 1914—1918

J. Łukaszewicz: WSPOMNIENIA
Z ROKU 1939

C. K. Żukow: O POWSTANIU WAR-
SZAWSKIM I POLSCE

Szereg innych opracowań
i zwykle działy.

Cena: 30 sh, 4.00 dol.

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Przegląd spraw wojskowych

Układ Warszawski. Wspólne manewry i ćwiczenia sił zbrojnych państw należących do tzw. układu warszawskiego były w bieżącym roku częstsze niż w ubiegłym i częstsze niż analogiczne ćwiczenia w ramach NATO. Niektóre z nich, jak np. obrony przeciwlotniczej, przeprowadzone w kwietniu, objęły tereny wszystkich państw satelickich oraz zachodniej części ZSSR, inne odbywały się głównie na obszarach PRL, NRD, CSR i Bułgarii od maja do października. Były wśród nich manewry w pełnym tego słowa znaczeniu, a'e były także wspólne ćwiczenia szkieletowe samych sztabów, lotnicze, kwatremistrzowskie, lądowo-morskie itd. Kierownictwo spoczywało przeważnie w rękach generałów sowieckich (Sztemienko, Majorow i Kutajew) ale jednym wspólnym ćwiczeniem sztabów kierował, przynajmniej nominalnie, szef sztabu LWP, gen. Chocha, a manewrami „Odra-Nysa 69“, przeprowadzonymi pod koniec września na obszarze PRL, minister obrony P.R.L., gen. Jaruzelski — pod nadzorem marszałków Greczki i Jakubowskiego. Choć niewątpliwie tu i tam zdarzyły się zgrzyty i niedociągnięcia, prasa nieodmiennie głosiła, że wszystkie zaangażowane jednostki i sztaby wykazały „najwyższy poziom sprawności, entuzjazmu i harmonijnej współpracy“.

SOWIETY. Wyjątkowo liczne zgony sowieckich marszałków i generałów w I. półroczu br., m.in. marszałków Merezkowa i Kazakowa, dało szukającym sensacji gazetom asumpt do podejrzeń, że w sowieckich siłach zbrojnych odbywa się brutalna czystka, względnie, że zdarzyły się katastrofy, skwapliwie

ukrywano. Zapomniano, że ilość generałów i admirałów sowieckich, jeśli doliczyć znajdujących się w stanie spoczynku, sięga niemal 2.000, — i że wśród 46 zmarłych, 32 miało ponad 60 lat. Podobnie bezpodstawną wydaje się być wersją że o polityce zagranicznej już nie decyduje „politbiuro“, lecz triumwirat Breżniew—marszałek Greczko i marszałek Jakubowski, choć żaden z tych marszałków nie jest członkiem „politbiura“. Skoro mowa o personaliach, warto wspomnieć, że marszałek Żukow wprawdzie wrócił do łaski, a'e jest od kilku miesięcy sparaliżowany i że była marszałkowskiej doczekał się ostatnio Koszewoj i Batyckij.

Wojsko lądowe, otrzymujące nowy typ umundurowania i nadal unowocześniane, uległo (w związku z pogwałceniem „bratniej“ Czechosłowacji i naprężoną sytuacją na Dalekim Wschodzie) znacznym przetasowaniem. Podług źródeł zachodnio-niemieckich zmasowano na wschód od jeziora Bajkalskiego już 21 dywizji, z których dwie zostały „zaproszone“ do Mongolii.

Jeszcze większe zmiany nastąpiły w rozmieszczeniu sił morskich w związku z ponownym wzmacnianiem floty śródziemnomorskiej, która składa się już z 71 czy nawet 78 jednostek, w tym z 4 krążowników, 10 niszczycieli i awiomatki „Moskwa“, na której bazuje co najmniej 30 helikopterów. Co tak samo ważne, rozbudowa kilku portów arabskich, z których ta flota może korzystać, polepsza stopniowo jej sytuację zaopatrzeniową i naprawczą. Części floty arctycznej i bałtyckiej odbyły wielkie ćwiczenia na północnym Atlantyku i zapędziły się aż do Kuby lub przeszły na

Morze Śródziemne. Znamienne jest również szukanie oparcia na Oceanie Indyjskim (przez rozbudowę pakistańskiego portu Gwadar) i nieustanne powiększanie ilości okrętów podwodnych uzbrojonych w rakiety. Na razie w tej dziedzinie przewaga amerykańska jest jeszcze czterokrotna, ale szybko się zmniejsza, jak zmniejsza się przewaga amerykańskiej floty handlowej.

O ile strategiczne lotnictwo amerykańskie nadal zdecydowanie przeważa, o tyle, jeśli wierzyć danym londyńskiego instytutu studiów strategicznych, w dziedzinie międzykontynentalnych pocisków balistycznych doszło już niemal do równowagi ilościowej, przy czym sowieckie rakiety „SS-99“ mogą mieć głowice wodorowe o mocy 25 ton TNT, czyli pięciokrotnie potężniejsze niż amerykańskie „Titan 2“. Za to, jak się zdaje, Ameryka przoduje w dziedzinie głowic złożonych, wybuchających na komendę kilkakrotnie („MIRV“) i bodaj także w dziedzinie rakiet przeciwrakietowych. Mimo wprowadzenia w orbitę ziemi ok. 300 sowieckich „Kosmosów“ Ameryka znów wysunęła się na czoło w kosmonautyce, jak dowiodło niedawne lądowanie na księżycu. Na odwrót Sowiety przeważają bezsprzecznie na polu rakiet średniodystansowych.

POLSKA Ze kadra sił zbrojnych jest w stosunku do reżimu lojalną, wykazały to zeszłoroczne wypadki sierpniowe. W ich świetle wydają się być ściśle oficjalne dane sprzed dwóch lat, że do partii rządzącej należy 100% generałów i oficerów sztabowych, 72% oficerów młodszych, 37% podoficerów zawodowych i 27% podchorążych.

Pomniki- i orderomania nie słabnie. Pomniki, związane głównie z ostatnią wojną, powstają nadal jak grzyby po deszczu, a do bardzo licznych orderów i odznaczeń doszedł niedawno order „Bractwa Broni“.

Prezesem Ligi Obrony Kraju został w miejsce gen. Książarczyka gen. Szydłowski.

Podług prasy niemieckiej LWP składał z 14 dywizji, w tym 4 pancernych i 1 powietrznej oraz dywizji piechoty morskiej, a lotnictwo ma rzekomo 1.170 samolotów typu sowieckiego, ale przeważnie budowanych w Polsce na podstawie licencji.

W parze z wielkimi postęпами w dziedzinie motoryzacji kraju (ok. 500.000 samochodów różnych typów i około 1.400.000 motocykli) idzie elektryfikacja linii kolejowych. Gdy do 1.I.1947 roku odbudowano tylko 64 km linii zelektryfikowanych, to obecnie ich długość przekracza 3.200 km.

Kage

BARBARZYŃSKIE DEKRETY

przytoczyć wysokość zasiłku wypłaconego tym dwu grupom:

Polak: najwyżej 9 zł. tygodniowo dla siebie, 4,20 zł. na żonę oraz 2,40 zł. na każde dziecko Tu należy przypomnieć, że 14-letnie dziecko było już obowiązane do pracy i nie mogło korzystać z zasiłku.

Niemcy i „Volksdeutsche“, w przeliczeniu na miesiąc otrzymali 140 zł., Polacy 56 zł. czyli tylko około 1/3 zasiłku płaconego Niemcom, mimo, że dochód na cele opieki społecznej pokrywały całkowicie tylko Polacy w postaci dwóch danin specjalnych.

W odniesieniu do ludności polskiej nie obowiązywała niemiecka ustawa o pomocy dla gruźlików i kalek, a

należy dodać, że zatrudnienie młodzieży od lat 14 w fabrykach i na budowach spowodowało ogromny wzrost gruźlicy. Na terenie generalnego gubernatorstwa, zagęszczonego przez masy Polaków wydalonych z ziem inkorporowanych do Rzeszy, śmiertelność przybrała nieopisane rozmiary. A w tym samym czasie ginęły tysiące w krajowych i niemieckich przymusowych obozach pracy, skutki opracowanej z precyzją planu eksterminacji rodu polskiego.

Minęła już wprawdzie rocznica napadu na Polskę, jednak przez dalsze lata przypominać nam się będą barbarzyńskie dekrety Franka budowania niemieckiego „Lebensraumu“ na mogiłach polskich.

W 25-tą rocznicę

BITWA pod Arnhem, której 25-tą rocznicę obchodziliśmy we wrześniu, nie stała się sławną z powodu jej sukcesu militarnego. Wprost przeciwnie, była to bitwa przegrana i sama sobą nie przyczyniła się wiele do wygrania wojny. Sława tej bitwy przeszła jednak do historii głównie z powodu zaciekleści walk i heroizmu jej uczestników. Straty poniesione po obu stronach były nieproporcjonalne do ilości zaangażowanych wojsk i do czasu trwania bitwy.

Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają mi na szerszą analizę całej operacji, która zresztą jest przedmiotem wielu brytyjskich opracowań. Większość tych rozważań nie podkreśla jednak dostatecznej roli, jaką odegrała w tej bitwie 1-sza Polska Brygada Spadochronowa pod dowództwem gen. S. Sosabowskiego, w składzie 1-ej Brytyjskiej Dywizji Powietrznej.

Plan marsz. Montgomeryego, którego Grupa Armii doszła pod koniec lata 1944 r. do Holandii, przewidywał odcięcie sił niemieckich w „worku holenderskim“ przez przebiecie wąskiego korytarza przez wschodnią Holandię i obejście linii Zygfryda od północy z wykorzystaniem na północną dolinę Niemiec z kierunkiem Hanover, Berlin. Głównymi przeszkodami na terenie Holandii był cieśnina Eindhoven i trzy rzeki płynące prawie równolegle do siebie w kierunku zachodnim, tj. Moza, Waal i dolny Ren. Zadanie opanowania pierwszych trzech przeszkód otrzymały powietrzne dywizje amerykańskie, zaś najbardziej wysunięty przedmiot operacji, tj. Arnhem został powierzony Dywizji Brytyjskiej, wspartej naszą Brygadą Spadochronową. Opanowane i utrzymane w odosobnieniu rejonu przeprawowe miały być kolejno połączone przez 30 Korpus Brytyjski. Powodzenie całej akcji zależało od szybkości działania 30 Korpusu, a zwłaszcza osiągnięcia ostatniego obiektu w rejonie Arnhem.

Zadaniem Brytyjskiej Dywizji Powietrznej (z elementami szybowcowymi naszej Brygady) było lądowanie 17 i 18 września w rejonie na zachód od Arnhem, opanowanie trzech mostów na Renie, zorganizowanie i utrzymanie przyczółka mostowego na północnym brzegu. Zrzut spado-

chronowy Brygady miał być dokonany na południe od Arnhem w dwa dni po pierwszym lądowaniu Brytyjczyków z zadaniem oczyszczenia tego rejonu, przeprawy przez uchwycone mosty i zorganizowanie obrony południowo-wschodniej części miasta w ramach przyczółka dywizyjnego do czasu nadejścia oddziałów korpusu.

Początek operacji w dniu „D“ miał wszelkie cechy i wróżby powodzenia. Pogoda (tak ważna w operacjach powietrznych) dopisywała, lotnictwo niemieckie prawie nie pokazało się, lądowanie na wybranych terenach odbyło się prawie bez oporu. Po zbiórce oddziałów rozpoczął się kilkukilometrowy marsz na Arnhem. I na tym skończyła się idylla słonecznej holenderskiej jesieni. Rozpoczęło się kilkudniowe piekło bitwy arnhemskiej.

Wbrew informacji wywiadu, Niemcy byli silni i dobrze przygotowani do zwalczania desantu powietrznego w tym rejonie, teren podejścia do obiektów trudniejszy niż wykazywały mapy, lądowiska zbyt oddalone od mostów. Rezultatem tego była strata elementu zaskoczenia w opanowaniu mostów. Most kolejowy i pontonowy został przez Niemców wysadzony, a główny most drogowy był tak zaciekle broniony, że batalion brytyjski zdołał uchwycić i utrzymać tylko przez dwa dni jedynie północny przyczółek w niezmiernie zaciętych walkach przy olbrzymiej przewadze technicznej i liczebnej nieprzyjaciela. Pozostałe oddziały brytyjskie, a wśród nich elementy naszej Brygady (głównie Powietrzny Dywizjon Artylerii Ppanc.) stworzyły przyczółek na zachód od Arnhem, oparty o Ren na przestrzeni zaledwie jednego kilometra. Nieprzyjaciel zrzucił do walki nie tylko piechotę, lecz również czołgi, samochody pancerne, ciężkie moździerze i artylerię. Przez nieustanne ostrzeliwanie i natarcia gnębił stale słabnące siły alianckie, które bez snu, wody i zaopatrzenia niecierpliwie czekały na planowane wsparcie przez Polską Brygadę, która miała być zrzucona w dniu 19 września.

Niestety, słoneczna pogoda pierw-

szych dwu dni zmieniła się w gęstą powłokę mgły nad Anglią, a pochmurną wietrzną siępień w Holandii. Warunki startu i lądowania były niemożliwe. Dwukrotnie oddziały nasze przyjeżdżały na lotniska, aby po kilkugodzinnym oczekiwaniu powrócić na kwatery i czekać na rozjaśnienie się pogody w dniu następnym, Wyczerpujące fizycznie i nerwowo było to czekanie, bezczynne siedzenie na lotniskach, nudzenie się na wpółzlikwidowanych kwaterach, dorywcze posiłki, codzienne zmiany spadochronów, Równocześnie wiadomo nam było, że Warszawa, do której oswobodzenia przygotowaliśmy się przez tyle lat, krwawi się w ostatnich dniach bohaterskiego powstania.

Tymczasem sytuacja pod Arnhem uległa tak poważnej zmianie, że w dniu „D + 4“ — tuż przed ostatecznym startem — lądowisko Brygady zostało przesunięte o kilka km. na zachód, naprzeciw rejonu obrony Dywizji. Zmienione zostało również zadanie. Mostów nie było, a chodziło jedynie o wsparcie Dywizji w nadziei utrzymania przyczółka do czasu dojścia elementów 30 Korpusu do Renu.

Ostatecznie, w trzeci dzień po planowanym terminie odlotu, pogoda rozjaśniła się na tyle, by armada powietrzna polskiej Brygady, startująca z dwu lotnisk, mogła się wznieść nad Anglię w kierunku Arnhem. Niestety, grupa 46 Dakot nie mogła przebić się przez gęsty pułap chmur i otrzymała rozkaz powrotu na lotnisko. Ta część Brygady dołączyła dopiero w ostatnim dniu walk. Tak więc Brygada nasza w niepełnym stanie znalazła się nad Holandią. Mimo silnego ognia plot. Brygada wylądowała na nieznanym zupełnie terenie z małymi stratami i po szybkiej zbiórce oddziałów wyruszyła nad brzeg Renu, gdzie miała przepłynąć się promem, utrzymanym przez Brytyjczyków. Wysłane rozpoznanie stwierdziło niestety, że prom jest zniszczony i w rękach nieprzyjaciela. Kontakt radiowego z Dywizją nie było, zapadł wieczór rozjaśniany łunami pożarów, strugami pocisków świetlnych i rakietami,

bitwy pod Arnheim

którymi Niemcy oświetlali rejon możliwej przeprawy. Późnym wieczorem dotarł do nas wpław nasz oficer łącznikowy, który był przez cały czas przy dtwie Dywizji. Zameldował krytyczne położenie po drugiej stronie rzeki i przekazał prośbę do pomocy Dywizji o natychmiastową pomoc. Brygada nie miała żadnych środków przeprawowych, bo obiecanne przez Dywizję łodzie gumowe do Brygady nie doszły. Wobec zbliżającego się świtu Brygada okopała się w pobliskiej miejscowości Driel i przygotowała obronę „na jeża“.

Od świtu pozycje nasze były pod silnym ostrzałem broni maszynowej i moździerzy, nacierała piechota niemiecka wsparta samochodami pancernymi i czołgami. Ataki te trwały przez cały dzień, jednak bez strat terenowych dla nas. Tymczasem saperzy zaimprovizowali środki przeprawowe, i osiągnęli ze zrzutowiska zasobnik z zaopatrzeniem i kilkanaście łodzi gumowych (dinghy), niezbędnymi do przeprawy. O zmroku saperzy rozpoczęli przeprawę 8 kompanii 3 Spad. Baonu Strzelców. Pierwsza fala przeszła bez trudności, ale gdy tylko nieprzyjaciel odkrył przeprawę rozpoczęło się piekło ognia artylerii, moździerzy i span-dau'ów. Niebó rozjaśniały pożary i rakiety, oświetlając niezgrabne łodzie gumowe i tratwy, walczące z silnym prądem. Kolejno wszystkie środki zostały zatopione przy dużych stratach Powietrznej Kompanii Saperów i 8 Kompanii Spad. Ostatecznie z całej kompanii jedynie 40 żołnierzy zajęło stanowiska w obronie kurczącego się przyczółka Dywizji. Dzień następny był powtórzeniem poprzedniego z tym, że dawał się odczuć brak żywności i amunicji. Infiltracja niemieckich sniperów, natarcia piechoty i nawały ogniowe ciągle trwające powiększyły ilość rannych i zabitych.

Jedyną pociechą było nadejście kilku samochodów pancernych rozpoznania 30 Korpusu z pewną ilością zaopatrzenia. Obiecano nam również łodzie szturmowe do forsowania rzeki całą Brygadą. Niestety, poprawnie zaplanowane i zorganizowane forsowanie musiało w ostat-

nim momencie ulec improwizacji, gdyż nadeszły łodzie innego typu, w mniejszej ilości i dopiero o godz. 02.00. W rezultacie, w ograniczonym do świtu czasie, przeprowiono jedynie około 250 żołnierzy pod stałym i zaciętym ogniem z wysokiego, północnego brzegu. Świt zastał nas nad rzeką jedynie z dwoma użytecznymi łodziami. Dalsze forsowanie było niemożliwe, pozostałość Brygady znowu wycofała się do ośrodka obrony. Noc ta była najcięższą w walkach Brygady, a i dzień następny nie był wcale lżejszy. Ogień nieprzyjaciela był prawie nieustanny, powodując dalsze straty. W ciągu dnia doszły do Renu dalsze elementy 30 Korpusu, między innymi kilka czołgów i Baon piechoty „Dorset“. Dla odciążenia naporu npla na resztki Dywizji zdecydowano trzecie forsowanie rzeki w nocy 24 na 25-go przez Baon „Dorset“ na zachód od przyczółka i dalsze forsowanie przez Brygadę w poprzednim miejscu. Oddziały nasze zaopatrzone w nowe łodzie szturmowe zajęły punkty wypadowe. W ostatnim momencie przed wyruszeniem zza zasłony wału dostaliśmy (jako dowódca przeprawy) żądanie od Brytyjczyków natychmiastowego oddania wszystkich łodzi Baonowej „Dorset“, do którego przeznaczone mu łodzie nie doszły. Z dowództwa Brygady otrzymałem potwierdzenie tego zarządzenia i bez żalu oddałem łodzie. Trzecie nasze forsowanie nie doszło więc do skutku, a dwie kompanie „Dorset“, które tej nocy przeprowiły się z dużymi stratami nie doszły do przyczółka Dywizji i zostały zlikwidowane przez Niemców.

Dzień 25 września podobny był do poprzednich. Miejscowość, której broniliśmy, została kompletnie zniszczona. Było o tyle lżej, że wobec obecności oddziałów 30 Korpusu Niemcy przestali na nas nacierać. Doszła też żywność i amunicja. W dniu tym zapadła decyzja ewakuacji z północnego brzegu oddziałów brytyjskich i naszych, które były już poza granicami wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Nasze oddziały, jako stosunkowo świeższe, miały zadanie ubezpieczenia oder-

wania się od nieprzyjaciela. Ewakuacja odbyła się przy pomocy łodzi motorowych, których, niestety, też nie było dość. W rezultacie wielu żołnierzy przeprowiło się wpław, wielu zginęło od zabójczego ognia, którym Niemcy pokrywali rzekę.

Tak zakończyła się sławna bitwa, która gdyby była zwycięska — zmieniłaby na pewno przebieg wojny. Kto wie, jakby dziś wyglądała mapa polityczna Europy, gdyby ten odważny a tak ryzykowny plan strategiczny doszedł do skutku.

Dziś, po 25 latach możemy być dumni, że polscy spadochroniarze dali z siebie tyle, na ile im ówczesne warunki pozwoliły. Z głębokim żalem wspominamy tych, którzy w bitwie brali udział, a którzy od nas odeszli.

WOLNE OD OPLAT CELNYCH

- materiały dentystyczne produkcji angielskiej, niemieckiej, szwajcarskiej, USA itd.
- wszystkie lekarstwa
- okulary
- pończochy na żyłaki
- wykonywanie recept krajowych sprawnie wyśle, bez zwłoki

Największy na świecie
Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & CO.,

TAZAB HOUSE
ROLAND GARDENS,
LONDON, S.W. 7.

Tazab of London Inc., 16, Stuyvesant
Street, New York 3, N.Y. 10003

o r a z

Représentation de Tazab à Londres,
20, Rue Legendre, Paris 17-e.

Kazimierz Schleyen

LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

Do nabycia:

Księgarnia SPK

20, Queens Gate, Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

NARKOTYKI — WRÓG PISARZY

WEDŁUG Szopenhauera, miara cierpień właściwa każdemu człowiekowi, jest zawsze wypełniona. Cierpienia czekają w swojej kolejce, aby znalazło się dla nich miejsce w świadomości. Mówiąc porównaniem Krasińskiego, każdy ma swą „urnę z trucizną“.

Pisarze, natury wrażliwe, uczulone, o cienkim naskórku, są bardziej podatni na cierpienie od przeciętnych ludzi. Mechanizmy psychiczne, które redukują cierpienia, w ich duszach działają słabiej, czasem nawet przestają działać, a raczej działają w odwrotnym kierunku, wzmagając cierpienie.

Tyle na ten temat psychologia. Ostatnie ćwierćwiecze było okresem niesamowitego zaniku kultury, norm etycznych, poczucia prawa i respektu dla zobowiązań, wiary, utraty elementarnej odpowiedzialności. Dwie wojny zrodziły brutalność.

Takie jest tło historyczne. I teraz wyobraźmy sobie na tym tle człowieka wrażliwego, przenikniętego pragnieniem wewnętrznego piękna i wolności wewnętrznej; człowieka, który marzy o szacunku dla samego siebie i dla innych ludzi. Wyobraźmy sobie Hłaskę. W swoich książkach mówił on dużo o szarpaninie uczuć w zetknięciu z brutalnym realizmem. Zawsze w nim był ten kontrast marzenia z rzeczywistością (ukryty wstydlivie pod maską cynizmu).

Na tym tle wyrasta brak pogodzenia się z życiem. Hłasko chciał żyć tak, jak pisał. A tak nie można. „To się musiało skończyć“ (pisze w liście do mnie Jadwiga Maurer).

Można by dużo pisać o środkach oszalamiających, do których wyciągali ręce artryści: wódka, wino, kawa, papieros, morfina, środki nasenne, kokaina, opium.

Czechow pisał, że świadome życie bez określonego poglądu na świat, nie jest życiem a ciężarem. I dlatego bohaterowie Dostojewskiego tak często tonęli w kieliszku. Ofiarami alkoholizmu byli m.in. Przybyszewski, Brzozowski, Uniłowski, Gałczyński, Broniewski. Zaczynało się to różnie. Jednym wódka uśmierzała bóle, rozbudzała twórczość, w innych (jak w Przybyszu) budziła „mystyczne dre-

szcze“. Kończyło się to zmarnowaniem talentu, jak u Przybyszewskiego, nonsensem, trzęsącą się i łzawą wylewnością, skłoną do uścisków, albo skracało życie jak u Uniłowskiego i tylu innych.

W Polsce zaczęło się niewinnie u pisarzy i poetów. Nie tyle od gorzałki, co od dzbana z miodem, który Kochanowski chwalił:

„Znał kto kiedy poetę trzeźwego?
Nie uczynił taki nic dobrego“...

Wino miało swoje boskie tradycje, dionizyjskie, bachiczne, eurypidesowe. W czasach nam bliskich Anatol France, Romain Rolland, Chesterton pod wpływem wina tryskali metaforą, zaskakiwali śmiałością myśli. Pióra ich niosła nawałnica. Pod wpływem burgunda Romain Rolland napisał swego „Colas Breugnot“.

Ale absynt zgubił Verlaine'a. I cyganerię Villona po mansardach Paryża.

Do środków podniecających i, zdawałoby się, niewinnych należy papieros. Zaczęło się od cybucha i od tabaki. Mickiewicz nie mógł obejść się bez cybucha i tureckiego tytoniu. Fredro, wiarus napoleoński, zażywał tabakę. Flaubert palił fajkę. George Sand i nasza Żmichowska — cygara. Nad biurkami naszych pisarzy unosi się chmura tytoniowego dymu, a popielniczki wypełnia popiół i niedopałki. Paweł Valery pali namiętnie. Znałogowani pisarze osłabiają serce.

Jeszcze jednym środkiem narkotyżującym jest kawa. Michelet miał złudzenia, że kawa obali wyszynki, gdzie młodzież rozpijała się wśród beczek i dziewcząt ulicznych. U nas za Stanisława Augusta były „kafehauzy“ za Żelazną Bramą, gdzie uczestnicy czwartkowych obiadów sięgali po ten nektar boski. Kawę pijali Diderot i Rousseau. Balzaka zabiła. Umarł po wypiciu 50 tys. filiżanek. I tak długo wytrzymał. W Niemczech Weimar słynął z mocnej kawy. A w pamiątkach po Schillerze zachowała się filiżanka z której pijał „ten cudowny dar Arabii szczęśliwej“. W Paryżu, w Café de Régence kawa dodawała „żaru duszom żarliwym“ Voltaira i Grimma.

W tradycji Warszawy pozostanie

zawsze Leon Schiller, który po premierze potrafił całą noc grać, pić dziesiątki filiżanek czarnej kawy i wypalać setkę papierosów.

Jakże na tym oszalamiającym ilościowo tle wygląda „pół czarnej“ Boy'a i Skamandrytów na półpięterku Ziemiańskiej?

Jakże uroczo byli młodzi i zdrowi. Kawa potęgowała lotność poetycką ich natchnienia. Ci chłopcy, zdawało się, nie mieli rozterek i zgryzot. I dalej byli od nieufności we własne siły. Nie potrzebowali narkotyku.

Do szczęśliwców, którzy obywali się bez narkotyku należał Goethe. Powdnie, cierpliwie, z rozumą przenikał temat i wykańczał koncepcje, które sięgały początków jego życia. Uważał rzeczywistość i realizm za przyjaciół człowieka. A poranek za przyjaciela twórczości, która o tej porze objawiała się najsilniej. To samo Bernard Shaw. Ich (Goethego i Shawa) zdrowie i potężna siła twórcza nie wymagały sztucznych podnieć i narkotyków, które by uśmierzały bóle i łagodziły cierpienia.

Najgorszym wrogiem pisarzy są silne narkotyki, jak morfina, kokaina, opium. Zatrwały one Baudelaira, rozstroiły mu nerwy, choć chwalił sobie niezwykle wizje, nowe myśli i szerokie horyzonty.

Obecnie Aldoux Huxley jest apostołem „meskaliny“. Na ogół narkomani kryją się wstydlivie ze swoim nałogiem, a czytelnik nawet nie domyśla się, czemu zawdzięcza fałszywe i kradzione wizje pod wpływem odurzenia.

Egzystencjonalizm sartrowski przeszkadza zdrowiu współczesnych pisarzy. Rozstraja ich myśli i nerwy. Siegają więc po lekarstwa, środki nasenne, pigułki — bez nich nie mogą żyć. W ten sposób Hłasko osłabił serce i wykończył się. Nie popełnił samobójstwa, ale doprowadził się do śmierci.

Ze smutkiem czyta się o śmierci Hłaski. Był przecież młody, miał wielki talent i wielkie możliwości przed sobą.

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACA-
NA PRENUMERATA**

DETEKTYW Z DYPLOMEM

Będzie dzisiaj mowa o takim, przyzwyczajonym biały płaszcz lub nieprzemakalny fartuch, czasem nakładającym gumowe rękawiczki i maskę ochronną. Pracuje w higienicznym gabinecie lub szpitalu. Ma do dyspozycji aparaty i najmodniejsze środki farmaceutyczne. Z natury rzeczy jest pilnym obserwatorem, wnikliwym psychologiem, wyrozumiałym znawcą słabości ludzkich. Już z tytułu swego zawodu lekarskiego powinien posiadać pewne zdolności śledcze. Najlepsze jednak wykształcenie i najszerze chęci mogą okazać się niekiedy niedostateczne i tylko intuicja, genialna intuicja, pozwoli mu wówczas na rozwiązanie zagadki. Przykład z własnego doświadczenia wyjaśni istotę zagadnienia.

Jedna z młodych o przystojnych pacjentek konsultowała regularnie, od szeregu tygodni, naszą przychodnię dla schorzeń alergicznych w wiedeńskim „Allgemeines Krankenhaus“, każdego poniedziałku. Pojawiała się zeszpecona, z obrzękiem i sączeniem na twarzy umiejscowionym głównie koło warg. Zgodna opinia podejrzewała, że jakiś kosmetyk zawinił. Surowo zakazaliśmy stosowania kredki, różu, pudru, wody toaletowej, pasty do zębów, a nawet manikierowania, gdyż może wywołać podrażnienie na odległość. Pacjentka najdokładniej, jak się później okazało, wypełniała zlecenia, atak nasilał się za każdym razem tak, że zawstydzeni lekarze przerzucali odpowiedzialność na pacjentkę, zarzucając jej nieposłuszeństwo i pokrywome używanie zakazanych preparatów. Aż wreszcie jeden z „detektywów“, mając zresztą coś z gruntu fałszywego na myśli, zapytał dziewczynę niedyskretnie, czy spędza weekendy z jakąś obcą osobą. „Owszem“, brzmiała szczerą odpowiedź, „z moim narzeczonym, który przyjeżdża aż z Grazu“.

Prosiłiśmy o zaprezentowanie nam młodego amanta za następną wizytą. Gdy tylko wszedł do gabinetu, odetchnęliśmy z ulgą, mieliśmy rozpoznanie gotowe. „Młody amant“, przedwcześnie posiwiślał, barwił swój złoty wąsik. Pechowa dziewczyna była szczególnie wrażliwa na barwik.

Historię czyta się z uśmiechem politowania. Ale kto jej doświadczył, wie, ile łez i trwogę kosztuje osobę dotkniętą odrażającym wypryskiem niewiadomego pochodzenia i jaka frustracja jest udziałem bezsilnych lekarzy.

Fakultet, któremu zawdzięczam fachowe wykształcenie, doradzał, aby wychowankowie ćwiczyli się w rozwiązywaniu podobnych zagadnień, wymagających prócz wiedzy również sprytu. Dlatego zachęcał starszych studentów do zapoznania się z pracami Instytutu Kryminologicznego. Zrozumiałe więc jest pewne uczucie solidarności, w życiu i literaturze między lekarzem a detektywem. W konsekwencji nie zdziwi nas fakt, że modna powieść kryminalna przyszła na świat w gabinecie chirurgicznym. Podkreślić jednak pragnę, że powieść nie identyfikuję z „thrillerem“ (czyli dreszczowcem), gdzie chodzi o wzniecenie atmosfery grozy i przerażenia, jakkolwiek przyznaję, że dzisiaj granice zatary się. Jeden i drugi rodzaj operuje hojnie tym, co Anglicy nazywają „horror and terror“. Zasadnicza różnica, moim zdaniem, polega na fakcie, że dreszczowiec nie ma pretensji do żadnej rangi literackiej i nie apeluje do zdrowego rozsądku czytelnika. Jest wytworem nieco zбочzonego mózgu, wysilającego się na sensację bez względu na zasady rachunku prawdopodobieństwa, na doświadczenie i logikę.

Przyznając powieści detektywistycznej skromne miejsce w literaturze, nie podpisuję się pod sądem G. K. Chestertona, który ubrał swego bohatera-detektywa, ojca Browna, w sukienkę duchowną i utrzymywał, że „powieść detektywistyczna jest ostatnią twierdzą moralności“, i, że gotów jest przytoczyć „szereg punktów, dowodzących jej serdeczną wyższość nad większością modnych książek“. Powieść detektywistyczna — ciągnie Chesterton — „opisuje z reguły sześciu żywych ludzi, zastanawiających się nad przyczyną śmierci jakiegoś osobnika. Natomiast modne, filozoficzne opowiadania (ma na myśli powieść psychologiczną) zajmuje się z reguły sześciu zmarłymi ludźmi, ła-

miącymi sobie głowę nad pytaniem, dlaczego jakiś człowiek pozostał przy życiu“. Nie chcę wchodzić w subtelności argumentów za i przeciw. Osobiście uważam, że w myśl sądu O. Wildego książka jest dobra, gdy jest dobrze napisana. Niestety, poziom powieści kryminalnych pozostawia dużo do życzenia.

Stuletnią rocznicę swego przyścia na świat obchodziła powieść kryminalna niedawno. Na jej załączki można jednak natrafić już u starożytnych, aby wymienić dla przykładu Ezopa, Herodota, Cicerona, Wergiliusza. W Biblii, a może w jakimś apokryfie, znajduje się opowiadanie o Danielu, zwiastujące adwent Conan Doylego i towarzyszy.

Inteligentny pisarz rozumie, że do rozwiązywania zagadnień kryminologicznych wymagana jest bogata wiedza medycyny sądowej, doświadczenie, znajomość prób i eksperymentów laboratoryjnych i zdolność do spokojnej dedukcji lub analizy. Dlatego sprytniejsi autorowie rekrutowali swoich fikcyjnych detektywów z grona lekarskiego. Jeśli jednak taki bohater nie posiadał wykształcenia lekarskiego, to, jak Sherlock Holmes, miał za przyjaciela i współpracownika dra Johna Watsona lub innego, i ten uzupełniał swą fachową wiedzą braki mistrza.

Powieść detektywistyczna znajduje czytelników wśród ludzi najwyższego intelektu. Wielu genialnych lekarzy pochłaniało wszystko, co się na rynku pokazywało. Lord Hewart of Bury, najwyższy sędzia angielska, komentował ten fakt optymistycznie. Jego zdaniem „detektywistyczna powieść cieszy się powodzeniem tylko wśród zrównoważonego społeczeństwa. Sympatia czytelników jest naturalnie po stronie prawa i porządku, a nie po stronie zbrodni“.

Lekarz i detektyw posiadają wiele wspólnych rysów. Obaj pragną gorączkowo zrobić właściwe rozpoznanie, obaj badają skwapliwie objawy i posługują się najnowszymi zdobyczami laboratoryjnymi. Lekarz notuje pilnie historię choroby, a nie ogranicza się do zapodań pacjenta. Zwraca się do otoczenia po wyjaśnienia, co

czyni również detektyw. Zręczni autorowie, jak wspomniałam, identyfikują obu w swych opowiadaniach.

Pojęcie detektywizmu i słowo „detektyw“ są świeżej daty. Oxford Dictionary notuje je w r. 1843, kiedy utworzono „The Detective Police“, załączek przyszłego „Scotland Yard“. W żargonie wydawniczym mówi się o „detective story“ od r. 1878. Francuzi posługiwali się określeniem „roman judiciaire“ lub „roman policier“.

Pierwsze oficjalne biuro śledcze założył w r. 1817 François Eugène Vidocq, osobnik nieco z nieco dziwną karierą życiową. Zanim przemienił się w stróża prawa i zyskał światowy autorytet, trudnił się zawodowo kradzieżą. W r. 1823 wydał swoje „Mémoires“, które wrywano nakładcom z rąk i uważano za fundament nowej wiedzy. Unieśmiertelnił go A. Puszkina w swej fraszce skierowanej przeciwko polskiemu tajniakowi, nazwiskiem Bułgariń (?):

Nie w tym sęk, żeś ty Polak, duszko.
Lach jest Mickiewicz, Lach

Kościuszko,
Bądź sobie Tatar, czy mandaryn,
Bądź Żyd i to nie żaden wstyd.
Ale w tym sęk, żeś ty Vidocq
Figlarin.

Znajomość „Pamiętników“ była powszechna. Znał je dobrze, między innymi, genialny Edgar Allan Poe (1809-1845). Jeden z jego powieściowych bohaterów, Chevalier Auguste Dupin, występuje w roli detektywa. Niestety, ekscentryczność i zbytnia rezerwa przeszkodziły mu w zdobyciu popularności wśród czytającej publiczności. Nie mniej jednak jego twórca Poe uchodzi za ojca powieści kryminalnej. Jego „The Morderns in the Rue Morgue“ otwierają szeroko literaturze nowe pole fantazji i wskazują na drogę, prowadzącą do skarbów, czasem nawet zaszczytów. Odmierzili ją z powodzeniem Emile Gaboriau („L’Affaire Lerouge“) i Australijczyk Fergus Hume („The Mystery of a Hansom Cab“). Obaj dorobili się ogromnej fortuny. Hume sprzedał pół miliona egzemplarzy najpopularniejszej szmiry „in no time“. Moje pokolenie znalazło swój ideał w wiecznie młodym i uroczym Holmesie. Monopol dusz naszej czytającej generacji objął na długie lata dr Arthur Conan Doyle (1859-1938).

Inspiracja do ulepienia Sherlocka pochodziła od znanego i szanowanego chirurga-dermatologa, dra Joseph Bell z Edinburgha. Zdumiewał swych słuchaczy genialną obserwacją i błyskawiczną analizą. Podobnie jak wielki dermatolog wiedeński, Ferdynand von Hebra, potrafił z mało ważnych na pozór, przez poprzednich badaczy bagatelizowanych szczegółów wyciągnąć wnioski zaskakujące pacjenta i uczniów.

Metoda dedukcji była znana i poprzednim pokoleniom. W satyryczny sposób przedstawia ją Wolter w opowiadaniu zatytułowanym „Zadig“. Bohater, jakiś bogaty, zblazowany Babilończyk spotyka stroskanego właściciela zaginionego wielbłąda. Zapytany przez niego, czy nie widział zbiegłego czworonoga odparł: Masz zapewne na myśli jednookie zwierzę o kiepskich zębach. Nie, nie widziałem, ale powłókił się w kierunku zachodnim. — Skąd wiesz, skoro go nie widziałeś? Stwierdziłem, że trawa jest oskubana tylko po jednej stronie i to częściowo, co tłumaczy jednocześnie i wadliwym użębieniem. Ślady kopyt wskazują na zachód. Niejeden szarlatan, rozpoznający choroby na odległość, zawdzięcza swoje powodzenie podobnemu darowi spostrzeżenia i wnioskowania.

Conan Doyle studiował pilnie medycynę, co opisał wiernie w „Mémoires and adventures“. Mimo dobrej szkoły i sumiennej pracy nie wybił się w praktyce, więc z konieczności chwycił za pióro. Na pomysł wprowadzenia Sherlocka wpadł dopiero w 28 roku życia (1886), co przyniosło mu książęce honorarium, 25 gwinej. Pragnąc zaspokoić niecierpliwosć nakładców i wilczy apetyt czytelników, pracował niezmordowanie przez 10 lat, by stworzyć 60 opowiadań. Wreszcie znużony postanowił uśmiercić swego wampira w słynnym pojedynku z prof. Moriarty, przy wodospadach Reichenbach w Szwajcarii. Wielbiciele zmarłego pisarza zorganizowali niedawno z pietyzmem i wiernością wyprawę z Londynu, w odpowiednich strojach, charakteryzujących konno i na staroświeckich bryczkach, do miejsca historycznego wydarzenia, w Szwajcarii. Nie jest to odosobniony przykład kultu ulubionej postaci. W Ameryce po-

wstały kluby i fundacje, utrzymujące pamięć fikcyjnego bohatera. Istnieją też towarzystwa naukowe imienia Conan Doylego.

Pomysł rozstania się z Sherlockiem na zawsze wywołał bunt i histeryczne protesty szerokich mas czytelnicznych. Policja, przerażona mnogością grózb, obawiając się zamachu na życie autora, doradziła mu, aby poszedł za głosem ludu. Rad nierad zaprzął znowu swego homunkulusa do pracy. W r. 1903 wyświetlił aferę „Glorii Scott“, poczem cierpiąc na chorobę stawów, wycofał się z praktyki. Tuż przed pierwszą wojną, na życzenie rządu angielskiego, wpadł na trop szajki szpiegowskiej i unieszkodliwił jej hersztą, groźnego Niemca, von Bork („His last bow“). Wszystkie ważniejsze dochodzenia poczyniły się i rozwijały w mieszkaniu Holmesa, 221 B. Baker Street. Współpraca Watsona była zawsze zapewniona.

Dr John H. Watson to alter ego Sherlocka, arcyważna i reprezentatywna figura w opowiadaniach Doylego. Jako lekarz wojskowy został poważnie zraniony kulą w „the fatal battle of Mainwand“ („A study in Scarlet“). Uszkodzenie tętnicy podobojczykowej wywołało poważne konsekwencje, znane w patologii jako „subclavian steal syndrome“. Ten zespół charakteryzuje się zaburzeniem krążenia, spowodowanym

**BIBLIOTEKA
„KULTURY“**

Kazimierz Wierzyński

CZARNY POLONEZ

Poezje

WYDANIE DRUGIE

Cena: 12 sh., 1.75 dol. 7.00 f.

KSIĘGARNIA S.P.K.

LONDON, S.W. 7.

20, QUEENS GATE TERRACE,

„kradzieżą“ przez anormalne naczynie, krwi, przeznaczonej dla mózgu. Wskutek tego występują okolicznościowe omdlenia, neuralgie, konfuzyje etc. O tych objawach znajdujemy liczne wzmianki w różnych opowiadaniach w związku z osobą Watsona. Watson przynosi chluby stanowi lekarzemu. Wychodzi spod pióra Doylego jako dobry, obowiązkowy, oddany i wyrozumiały, pilnie doksztalcający się lekarz, niezagany dżentelman i lojalny przyjaciel. Nieco neurasteniczny Holmes dyskutuje z nim i sprzecza się często. Czuje jednak dla niego głęboki szacunek. Robi mu w „The last bow“ nie byle aki komplement: Stary, poczciwy Watsonie, ty jesteś jedynym trwałym oparciem w chwiejącej się epoce“.

Poza monumentalnym Watsonem natrafiamy w powieściach Doylego na wielu innych przedstawicieli medycyny. Sir Leslie Oakshott reprezentuje godnie chirurgię („The illustrious client“), Sir Jasper Meek, Penrose Fisher i dr Aintree zajęci są ogólną praktyką („The dying detective“), Pery Raveleau pragnie poświęcić się neurologii. Znalazły się i dwie czarne owce: uwodziciel dr Ray Ernest („The retired colourman“) i szczególnie niegodziwy dr Grimesby. Morduje jedną pasierbicę, a drugą zamierza zgładzić przy pomocy jadowitego węża („The speckled Band“).

O różnych chorobach, ich rozpo-

znaniu, sposobach leczenia etc. znajdujemy częste wzmianki. Do ulubionych diagnoz należała wówczas „brain fever“, dzisiaj zapomniana. Trucizny, narkotyki, nikoty-na, omawiane są szeroko. Nie ulega wątpliwości, że tak Holmes jak i Watson popadliby dzisiaj w konflikt z władzami, za nieprzestrzeganie ustawy o niebezpiecznych środkach.

Holmes przewidywał zdumiewająco ważność genetyki, wówczas jeszcze w powijakach, dla kryminologii, co zasługuje na podkreślenie i najwyższy podziw. Jeśli nawet jego uwagi są zbyt dogmatyczne, naiwne lub wręcz niedorzeczne, to jednak liczenie się z prawami dziedziczności świadczy o szerokim horyzoncie. Napisał nawet monografię „On the Variability of Human Beings“. W rozwiązaniu różnych „Awantur“ zaskakuje Watsona powoływaniem się na prawa dziedziczności. W jednej z nich ze sprawozdania dziecka wnioskuje o cechach rodziców („The Adventure of the Copper Beeches“), a w innej z obserwacji zwierząt domowych o duchowej sylwetce właściciela („The Adventure of the Creeping Man“). Jedynie „Yellow Face“ kompromituje Holmesa, wdaje się nieostrożnie w tłumaczenie zupełnie czarnej barwy skóry dziecka, pochodzącego ze skrzyżowania białej matki z półmurzynem.

Konkurentem Doylego na niwie literackiej był dr Richard Austin Freeman (1862-1940). Ulubionym bohaterem-detektywem Freemana jest lekarz Thorndyke. Występuje jako dżentelman, liczy 40 lat, posiada medyczne i prawnicze wykształcenie, urodę, wdzięk, sportowy training wzorowe manieri, naukową imaginację i zmysł humoru. Freeman był w życiu zapalonym kryminologiem i właścicielem wzorowego laboratorium. Pozostawił bogatą spuściznę literacką, spotykaną jedynie w antykwariach.

W literaturze angielskiej pokutują jeszcze inni lekarze jako detektywi. Dr Reggie Fortune występuje w doskonałych powieściach H. C. Bailey'ego, dr Scarlett, awanturnicy, rabeleisowski typ w nowelach Alexandra Laing. Dr Dawida Winttingham poczęła lekarka, pisząca

pod pseudonimem Doris Bel. Akcja jej powieści rozgrywa się przeważnie w gabinetach lekarskich i szpitalach. E. Hornung, szwagier Doylego, wprowadza dr Dollara jako detektywa. Innych pomijam, jak również przedstawiciele literatury amerykańskiej. Podkreślam natomiast fakt, że nazwa „detective story“ pochodzi od Amerykanki, Anna Katherine Green, która z powodzeniem debiutowała opowiadaniem „The Leevenworth Case“. Mrs. Green znalazła szereg godnych uczennic, by wspomnieć tylko Dorothy Sayers i Agatha Christie, obie należące do „wielkiej piątki“ autor-skiej.

Nie ma dnia, aby nowe fikcje z działy kryminologii lub autentyczne zwierzenia detektywów w stanie spoczynku nie pojawiły się na rynku wydawniczym. Widocznie znajdują chętnych nabywców. Wątpię jednak, czy ktoś ze szkoły Sherlocka znajdzie w nich pełne zadowolenie. Przypuszczam, że i sam Holmes, dyskutując ten problem z Watsonem w niebie, przyzna przyjacielowi rację, gdy ten wytknie modnym autorom niedbalstwo i pseudowiedzę tylko. Pałac swą fajkę, pokiwa głową i dorzuci tylko: exactly Watson — jak to zwykł był czynić za życia.

Gryf Publications Ltd

STEFAN KORBOŃSKI

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

15 opowiadań, których tłem jest druga wojna światowa. Niezwykłe czasy, niezwykli ludzie nadają tej książce niezwykły koloryt i czynią z niej niezapomnianą lekturę.

Cena: 12 sh., 2.50 dol.

Skład Główny: KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

ANGLOPOL Ltd.

z a ł a t w i a m y

Kupno — sprzedaż domów

— Pożyczki do 80%

226, Westbourne Grove,
London, W. 11.

Tel.: BAY 3645



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.

Tel. 01-228 0879

W NOWOGRÓDZKIEJ STRONIE (V)

DO WARSZAWY!

SPOŚRÓD gruzów spalonego miasta furmanka wyjechała w pole. Dzień był wymarzony na taką wędrówkę. Mickiewiczowski kraj lat dziecińczych, kraj za którym tęsknił przez całe życie, deptany wczoraj butami bolszewików, dziś niemieckich „panów Europy“, przeorany wojną, bombardowany i palony, zachował jednak swą urodę. Poziomki w lasach, które przejeżdżałam, były słodkie i pachnące, trawy puszyste i wilgotne, drzewa ogromne i pełne majestatu. Ku ucieście Moniki wiewiórki hasały po gałęziach, dzieś w oddali stukał dzieciół, a wilgi gwizdały niefrasobliwie. Dziewczynka chciała zrobić bukiet z leśnych dzwonek, ale Ewa nie pozwoliła.

— Nie zrywaj ich, córeńko, im tak dobrze tu w lesie! Co będziesz robiła z bukietem w pociągu? Zwiędną zaraz i trzeba je będzie wyrzucić. Niech żyją spokojnie na wolności!

Zrobili krótki postój przy Świtezi. Siedziały na kamieniach nad brzegiem przejrzystego jeziora, patrząc na ogromną ścianę drzew, odbijających się w spokojnej toni. Słuchały cudownej ciszy tego przedziwnego

zakątka, obok którego tuż, o kilkadziesiąt metrów, przewalała się szosą potężna armia, idąca na podbój rosyjskiego olbrzyma.

Jechały potem przez zbombardowane i wypalone miasteczka, obok zniszczonych czołgów i trupów końskich, pod włos olbrzymiej masy ludzkiej, posuwającej się wszystkimi środkami lokomocji: w samochodach, na bryczkach, motocyklach, rowerach, lub pieszo w zwartych kolumnach, jak niegdyś wielka armia Napoleona.

Raz, spośród takiej kolumny mijającej ich wózek, młody jakiś głos zawołał w ich stronę: „Dzień dobry!“ Monika otworzyła szeroko oczy, odwróciła się ku mijającym ją żołnierzom, którzy uśmiechali się przyjaźnie.

— Mamusiu, on mówi po polsku! To Polak!... Czy są Polacy w wojsku niemieckim?...

— Są, dziecinko. Polacy ze Śląska, z Poznańskiego, Pomorza. Z tych ziem, które przed pierwszą wojną światową zajęte były przez Niemców.

A czy oni chcą być w wojsku niemieckim?

— Muszą! Nie mają innego wyboru.

— I muszą nosić niemieckie mundury?

— Muszą.

Dziewczynka zamyśliła się i spoglądała długą chwilę za oddalającą się kolumną. Jej gładkie, dziecinne czoło przecięła zmarszczka świadcząca o wielkim nateżeniu myśli.

Baranowice, jak wszystkie miasta, które przejeżdżały dotychczas, były w znacznej części zniszczone przez bombardowanie.

Tutaj dowiedziała się Ewa, że jedynie ważne są przepustki wydawane w tutejszej komendzie miasta. Po znalezieniu schronienia dla matki i dziecka poszła natychmiast pod wskazany adres i zastała nowe władze w pełni urzędowania. Nie znalazła jeszcze odznak i mundurów gestapo, ale sądząc z ostrych, nieprzyjemnych głosów i zimnych, prawie nieludzkich twarzy, sądziła, że władzę

w mieście sprawuje osławiona gwardia Himmlera.

Wydana jej przez komendanta Nowogródka przepustka nie zrobiła wrażenia.

— Taki kapitan w Nowogródku wyobraża sobie, że może wydawać przepustki do Warszawy!... — rozeszmiał się oficer, któremu podała dokument.

Ale Ewa nie chciała — nie mogła zrezygnować. Wytoczyła przed nim całą baterię argumentów, które zastosowała poprzednio w Nowogródku: jej rodzina, dom, miejsce pracy są w Warszawie. Z tymi ziemiami nie łączy jej nic. Nie ma tutaj mieszkania, nie ma środków utrzymania.

Nie pytali o męża. Natomiast urzędujący podoficer, na skinienie oficera, rozłożył kwestionariusz, stawiał pytania i notował odpowiedzi.

— Religia? — zapytał w pewnej chwili.

— Rzymskokatolicka.

— A dawniej?

— Rzymskokatolicka — odpowiedziała zaskoczona w pierwszej chwili powtórzeniem pytania.

Ten sam proceder zastosowany został przy wypełnianiu formularza dla matki: podwójne pytanie dotyczące wyznania.

Otrzymała przepustki i bilety. Oficer kazał jej się zgłosić na dworzec i spytać, o której godzinie odchodzi nazajutrz pociąg do Warszawy. Podziękowała i odeszła.

Wyszedszy przed dom stanęła na chwilę oddychając głęboko. Bolała ją głowa z napięcia nerwowego, z zaduchu palonych papierosów, od wrzasku, który rozdzierał uszy..

Przez ten czas, kiedy załatwiano w spokojny sposób jej sprawę, przez pokój przesuwali się inni interesanci, w tej samej prawdopodobnie sprawie co ona. Ale ton głosu podoficera rozmawiającego z nimi był ostry i przykły.

W pewnej chwili do pokoju weszła kobieta z niemowlęciem u nagich zupełnie piersi. Lamentowała, prosiła i krzyczała na sposób płaczek izraelskich, rozczochrana, przerażona, nieprzytomna z trwogi.

WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

—Um Gottes Willen!...*) — wrzasnął, spojrzawszy na nią oficer, który wydawał Ewie przepustkę.

Ewa pochyliła się do nowo przybyłej szepeąc kika słów po polsku. Lamentująca płaczka zdawała się nic nie widzieć, nic nie rozumieć. Dosłyszała jednak i naciągnęła bluzkę.

Ewa stała chwilę pod bramą myśląc o tym jaką przyjemność mogą znajdować ci ludzie przemieniając człowieka w bezbronne, przerażone zwierzątko.

Ruszyła na dworzec. Szła dzielnicą wyburzoną i spaloną. Przed jednym z domów ustawił się w bohaterskiej pozie młody żołnierz. Kolega robił mu zdjęcie na tle gruzów.

— Czy można nazwać kulturalnym naród — pomyślała Ewa — który tak jest dumny z dokonanych zniszczeń, że pragnie się uwiecznić na tle gruzów?

Na twarz jej spadła duża, ciepła kropla. Spojrzała w górę. Czyste przedtem niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami. Zaczynała się gwałtowna letnia ulewa. Przyspieszyła kroku, aby znaleźć schronienie przed deszczem. Dobięła do ulicy nie zniszczonej przez bomby i przystanęła pod małym daszkiem, chroniącym kilka stopni i wejście do opustoszałego domku. Deszcz wzmagał się i w chwilę później woda płynęła szeroką falą po wybukowanej kocimi łbami jezdni.

Nagle pusta przed chwilą ulica nappełniła się ludźmi idącymi w wielkim pośpiechu. Niektórzy mieli ręczne wózki lub taczki, inni biegli z pustymi rękami. Tłum ten wchodził pospiesznie do opustoszałych, jak się przedtem Ewie wydawało, domów i wynosił stamtąd przygotowane widocznie wcześniej tłumoki i walizy na stojące przed wejściem wózki.

Koło Ewy przecisnął się jakiś mężczyzna, wbiegł do domu i nie spojrzawszy nawet na stojącą obok kobietę, z wielkim pośpiechem rzucił na taczki walizki, które w mgnieniu oka zawilgły na ulewnym deszczu.

Gorączkowy, nieprzytomny pośpiech tego tłumu świadczył, że gra idzie o życie, że mają jakiś termin, którego nie wolno przekroczyć pod grozą śmierci.

— Getto! — pomyślała Ewa — Niemcy robią getto!...

Nie mogła na to patrzeć. Nie mogła nigdy patrzeć spokojnie na poniżanie godności ludzkiej, bo czuła się sama poniżona jako człowiek. Mimo ulewnego deszczu zeszła na ulicę i w cienkich sandałkach biegła nie zważając na kałuże.

Ciepły, gęsty, przyjazny deszcz spływał jej po twarzy i włosach, przenikał przez cienką suknię i odświeżał zmęczone ciało.

Och, gdybyż mógł jeszcze obmyć z poczucia bezsilności wobec zorganizowanego okrucieństwa!

* * *

Jechały towarowym pociągiem z gromadą kobiet, kilku starymi mężczyznami i trzema żonami sowieckich oficerów. Mężowie zginęli lub zostali wzięci do niewoli. Kobiety przerażone, zagubione w obcym, niezwykłym im kraju, przebijały się z dziećmi do domu. Nie rozumiały informacji udzielanych im w niemieckim języku, nie wiedziały gdzie się mają przesiąść, czego od nich żądają.

Ewa tłumaczyła, dawała wyjaśnienia, starała się pomagać.

Kiedy po godzinie jazdy wyjęła kanapkę z kawałkiem kiełbasy, którą matka cudem zdobyła jeszcze w Mińsku, i dała ją Monice — zelektryzowany zapachem wędliny mały, może trzyletni chłopczyk, wyrwał się z rąk matki i stanął przed dziewczynką patrząc jak zahypnotyzowany na chleb.

Matka przyciągnęła go do siebie odwracając mu głowę w przeciwnym kierunku. Zaczęła płakać. Potem, jakby nie chcąc tracić czasu, uspokoił się i wiercił jak świder, zwracając głowę ku Monice. Ewa wyjęła drugą kanapkę i podała dziecku. Jadł z łapczywością dorosłego, w skupieniu i wielkim pośpiechu.

Spod ściany rozległ się męski, gderliwy głos:

— Po co pani daje mu chleb?!... Zapomniała już pani co oni z nami robili?...

— To dziecko nie zrobiło nam nic złego. I jest głodne.

— A co oni robili z naszymi dziećmi?!... Wywozili w grudniu 1939-go roku w nieopalonych wagonach, a zmarznięte na śmierć dzieci wyrzucali za różki przez okno!...

Chciał mówić dalej, ale mu przerwała. Nie mogła tego słuchać.

— Wiem o wszystkim! Ale czy pan jest zwolennikiem odpowiedzialności zbiorowej? 'starotestamentowego: „Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę“? Można i takie zasady stosować w życiu... Ale wówczas świat nigdy nie stanie się chrześcijański. I mogłoby się okazać, że Chrystus umarł na krzyżu na daremnie...

Nie odpowiedział. Tylko Monika spoglądała w głębokim zamyśleniu na matkę i skulonego pod ścianą staruszka. W chwilę potem, kiedy Ewa dała jej jabłko i nóż do jego obrania, przekrajała otrzymany owoc i połowę oddała małcowi.

— Spasibo! — powiedziała cicho matka i wyciągnęła rękę jakby chciała pogłaskać jasne włosy dziewczynki. Nie zrobiła tego jednak. Jej piękne, ogromne, czarne oczy pełne były łez.

Jechały, zdawałoby się bez końca. Przerzucane z pociągu do pociągu, z wagonów towarowych do przedziałów trzeciej klasy i z powrotem do bydlęcych wagonów. Towarzyszy podróży ciągle ubywało. W końcu jechały same. Pociąg zatrzymywał się czasem na długie godziny, przepuszczając olbrzymie transporty błyszczących, nowiutkich armat i czołgów, załadowanych na olbrzymie lory.

PO DŁUGOLETNIJ PRZERWIE
ZNOWU NA PÓLKACH
KSIĘGARSKICH

DZIAŁANIA 2 KORPUSU WE WŁOSZECH

Tom I.

z przedmową
gen. Władysława Andersa,
pod redakcją
plk. dypl. dr S. Biegańskiego

Str. 664.

Wykazy, indeksy, szkice.
Oprawa płócienna.

Cena: 63/-.

Koszt przesyłki 4/6.

Należy zamawiać:

w Księgarni S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORŁA BIAŁEGO“

*) Na miłość Boską!

TEMATY PARYSKIE

ZACISKANIE PASA

ÓSMEGO sierpnia, na samym szczycie kanikuły, gdy nawet spekulanci byli nad morzem lub w górach, rząd premiera Chaban-Delmasa postanowił obniżyć oficjalną wartość franka o 12 i pół procent. Decyzja ta była niespodzianką nie tylko dla społeczeństwa francuskiego i dla partnerów Francji we Wspólnym Rynku, ale również dla państw należących do Banku Świata i do Międzynarodowego Funduszu Pieniężnego. Z niedyskrecji prasowych dowiedziano się, że o samej decyzji, powziętej na tajnych konwentykłach na kilka tygodni przed jej ogłoszenie, nie wiedziała nawet większość członków gabinetu. Wtajemniczeni byli prezydent Republiki, premier, minister finansów oraz dyrektor banku emisyjnego — plus pewna ograniczona liczba wyższych urzędników, ściśle współpracujących z wymienionymi dygnitarzami. Dewaluację uzasadniono okolicznością, że frank w następstwie zeszłorocznych zaburzeń majowych i czerwcowych utracił częściowo swą oficjalną wartość na giełdach zagranicznych i że decyzja rządu jest najwłaściwszym sposobem przywrócenia równowagi w bilansie handlowym i płatniczym. Zapowiedziano też radykalne cięcia w wydatkach rządowych celem zrównoważenia budżetu państwowego.

Aby przekonać opinię, że uchwały z 8 sierpnia są aprobowane przez wybitnego ekonomistę i męża stanu Pinay'a, prasa podała fotografię tego polityka wraz z premierem. Wyjaśniono, że premier podejmował właśnie Pinay'a śniadaniem, które określono jako **un déjeuner frugal**, co w przekładzie na polski nazwałoby można **skromnym żołnierskim posiłkiem**. Chaban-Delmas ma wszelkie prawo do częstowania swych gości daniami typu wojskowego gdyż — jak wiadomo — był pod koniec wojny generałem.

Na takich propagandowych gestach nie ograniczyła się jednak działalność premiera i jego rządu. Wypowiedziano wojnę wyższym cenom, zaprzęgnięto do roboty kontrolerów

ekonomicznych i ogłoszono szereg zarządzeń, zmierzających do ograniczenia konsumpcji wewnętrznej i do większego napływu oszczędności do banków krajowych.

Innym ważnym wydarzeniem w dziedzinie społecznej i gospodarczej był w ostatnich czasach projekt przydzielenia robotnikom udziałów państwowej fabryki samochodów Renault. Zapowiedział to na konferencji prasowej prezydent Pompidou. Uczynił to ostrożnie, wyjaśniając, że chodzi o eksperyment i że rządowi polecono opracowanie w tej sprawie projektu ustawy, która zostanie przedłożona parlamentowi. Działacze związkowi przyjęli tę zapowiedź z nieufnością lub krytycyzmem. Wysłunięto zarzut, że fabryka Renault stanie się znowu własnością prywatną. Zaskoczona była też dyrekcja przedsiębiorstwa Renault, której Pompidou o swych planach nie uprzedził. W prasie ukazało się wiele komentarzy. Przypomniano np., że Pompidou nigdy nie uchodził za fanatycznego zwolennika partycypacji i że miał kiedyś powiedzieć: „Gdzie się na partycypację, ale pod warunkiem, że mi ktoś wytłumaczy co to oznacza?”. Ujawniono też, że Pompidou, zanim wystąpił z programem przyznania udziałów firmy Renault robotnikom w niej zatrudnionym, sumiennie przestudiował metody, jakimi odpaństwowiono w roku 1960-ym fabrykę Volkswagena w NRF. 60 procent akcji tej fabryki należy obecnie do drobnych posiadaczy. Pompidou miał kiedyś powiedzieć: „Partycypacja — to określenie bardzo niezręczne. Wolę czyny od frazesów”. Ten sposób rozumowania doprowadził go do koncepcji rozdziału części kapitału fabryki Renault między robotników.

SKARBY NIEODKRYTE

Paryskiej **Comédie Française** grozi uduszenie. Przekonał się o tym niedawno amerykański uniwersytet stanu Ohio, gdy zaproponował sponrządzenie mikrofilmów z rękopisów i druków, znajdujących się w archiwach tego teatru. Dyrekcja **Comédie**

Française, teatru zbudowanego jeszcze w roku 1790-ym, udzieliła Amerykanom odpowiedzi odmownej, którą uzasadniła brakiem miejsca na rozpakowanie i sfotografowanie wszystkich zabytków archiwalnych, stłoczonych w ciasnych i zaniedbanych pomieszczeniach. Nikt nie wie dokładnie, jakie skarby zawiera archiwum i biblioteka **Comédie Française**. O wątpliwej wartości istniejącego inwentarza świadczy fakt, że niedawno w stosie starych papierów znaleziono rękopis XVIII-wiecznego komediopisarza Marivaux. pt. „Kumoszki”. O istnieniu tej komedii nie wiedział żaden historyk literatury. Wypada nadmienić, że Marivaux zajmuje czołową pozycję w literaturze pierwszej połowy XVIII-go stulecia i że wykładowcy w szkołach wyższych i średnich wciąż zachwycają się jego subtelną analizą psychologiczną i umiejętnością wyrażania językiem prostym i pięknym różnych odcieni uczuć ludzkich.

Na ciasnotę narzekają także aktorzy. Z powodu braku odpowiednich sal muszą oni odbywać nie tylko próby czytane, ale także sytuacyjne na korytarzach. W dodatku ogrzewanie szwankuje, krzesła na widowni są twarde i wąskie, a dekoracje przywożone są często przed przedstawieniem ze składu w Neuilly i odwożone nocą po przedstawieniu. Mimo fatalnych warunków lokalowych teatr przy ulicy Richelieu pracuje na pełnych obrotach. Obliczono, że wraz z popołudniówkami **Komedia Francuska** daje przeciętnie 10 przedstawień tygodniowo. Dyrekcja i aktorzy, biorąc pod uwagę rządową politykę zaciskania pasa, nie mają złudzeń co do ewentualnego zdobycia nowych subsydiów celem przeniesienia teatru do innego gmachu, który można by zbudować na terenie dawnych hal paryskich niedaleko od obecnej siedziby **Comédie Française**. Rozważany jest wobec tego plan znacznie tańszy. Według doniesień dziennika „Le Figaro” zespół **Comédie Française** chce namówić Ministerstwo Kultury, by teatrowi przydzielono sąsiedni gmach przy ulicy

STEFAN BENEDYKT

„MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM“

OPOWIADANIA STEFANA KORBOŃSKIEGO

DOTYCHCZASOWE prace pisarskie Stefana Korbońskiego, ukazujące się w odstępach kilkuletnich od 15 chyba lat należą do publicystyki politycznej. Autor, prawnik i adwokat z zawodu, działacz polityczny z zamiłowania należał do najwybitniejszych ludzi Polskiego Podziemia i Polski Walczącej.

Najlepiej odzwieczadla ten okres działalności jego w rządzie państwa podziemnego — pierwsza książka Korbońskiego pt. „W imieniu Rzeczypospolitej“, która doczekała się 2 wydań w języku polskim i dwu również w przekładzie angielskim.

Książka ta — jakiegokolwiek zastrzeżenia mają do niej być może ludzie podziemia czy nawet — w co wątpić zresztą należy — historycy jest pierwszym dokumentem pracy politycznej polskiego państwa podziemnego. Działalności i pracy, ale również postawy całego społeczeństwa i Narodu — który po okresie 20 lat niezawisłości i życiu w wolnym i niepodległym, odrodzonym państwie nie upada i nie załamuje

się i w ogólnie już znanych warunkach bezwzględnej okupacji — czują się nadal gospodarzem w swoim państwie.

Nakazy Rzeczypospolitej, jej władz nieujawnionych — są jedynym i najwyższym prawem — obowiązują wszystkich — nieliczni odstępcy czy wyłamujący się — prócz doraźnej kary — są wyłączeni z polskiej społeczności.

Po ukazaniu się pierwszej książki Stefana Korbońskiego dwie następne przyjęte zostały ze zrozumiałym zainteresowaniem.

Wydana ostatnio nakładem Gryfu książka tego autora „Między młotem a kowadłem“ — ma już inny charakter¹⁾. Jest zbiorem kilkunastu opowiadań z okresu wojny i życia naszego na uchodźstwie, w kilku krajach naszego osiedlenia.

Trudno zaliczyć ją do ściśle określonej kategorii pracy pisarskiej.

¹⁾ Stefan Korboński, MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM. Str. 160. Gryf Publications Ltd. Londyn 1969.

Luźne, niezwiązane ze sobą opowiadania są jakby szkicami z życia i przejść ludzi z różnych okresów polskiej rzeczywistości wojennej i powojennej, są opowiadaniem, które można „dopasować“ do 3 poprzednich prac autora.

Po przeczytaniu opowiadania pierwszego „Kolacja w Hanowerze“ — może jednego z najlepszych — trudno książkę Korbońskiego odłożyć i nie przeczytać ze zrozumiałym zainteresowaniem — kilkunastu dalszych.

Opowiadanie to, które ukazało się już poprzednio w odcinku „Dziennika Polskiego“ jest zamkniętym szkicem do scenariusza filmowego i chyba zostanie wyzyskane do tego celu.

Ile w tym opowiadaniu prawdy, a ile fikcji, ale na pewno opartej na rzeczywistości — trudno ustalić. I nie warto ustalać, nią trzeba.

Poruszenie tematów wojennych przez 2 przeciwników sprzed kilkunastu lat — nowe, interesująco ujęte, ciekawe.

Ocalały oficer niemiecki, wycho-

TEMATY PARYSKIE

Montpensier, w którym są biura Rady Konstytucyjnej. Gdyby Radę, pracującą nieco powolniej niż teatr, przeniesiono do jakiegoś *hôtel particulier* w innej dzielnicy Paryża, nie stałaby się nikomu krzywda, aktorzy mieliby dość miejsca na próby, a teatr mógłby rozpakować swe archiwa i udostępnić je naukowym instytucjom zarówno francuskim jak i cudzoziemskim. Sporządzenie mikrofilmów dla uniwersytetu stanowego Ohio nie nastroczałoby wówczas żadnych trudności. Amerykanie obiecali, że jeden mikrofilm ofiarują bibliotece Comédie Française tytułem honorarium.

ŚMIERĆ PISARZA I JEGO BOHATERA

Fantomas, francuski rabuś, łobuz i złoczyńca, który od roku 1911-go wykolejał pociągi, topił statki i zawsze potrafił zmylić pogoń, zakończył awanturniczy żywot w roku bieżącym. Okoliczności, w których rzezi-mieszek ten przeniósł się na tamten

świat, znane są dotychczas tylko paryskiemu wydawcy sensacyjnych książek Marcellego Alain. Pisarz ten, twórca Fantomasa, zmarł niedawno w Saint-Germain-en-Laye w wieku lat 84-ch. Na krótko przed śmiercią wyjawiał przyjaciółm, że napisał ostatni tom Fantomasa i zamknął maszynopis w kufrze. „Książka ta — powiedział Alain — ukaże się drukiem dopiero po mojej śmierci. Takie instrukcje otrzymał wydawca“. Dzienniki donosząc o zgonie pisarza podały równocześnie, że Alain nie chciał, by jego bohater go przeżył i dlatego uśmiercił go w ostatnim tomie. W ciągu długiego żywota Marcel Alain napisał 597 książek i broszur, z których 44 miało za przedmiot zbrodnicze wyczyny Fantomasa. Te właśnie cieszyły się największym powodzeniem i zapewniały autorowi olbrzymie dochody. Zaraz po pierwszej wojnie światowej Fantomas zdobył bezapelacyjnie rynek francuski. W krótkim okresie czasu od roku 1919-1921 osiągnął nakład

milion siedmiuset tysięcy egzemplarzy. Książki Alaina tłumaczono na 22 języki. O Fantomasie pisali poezje Carco, Cocteau i Aragon.

Niedawno Fantomasa przerobiono na serię filmów awanturniczo-humorystycznych. Fantomasa grał Jean Marais, a inspektora policji komik de Funès. Alain protestował twierdząc, że stworzony przez niego Fantomas jest postacią złowrogą, a w interpretacji Marais i w reżyserii Hunabelle stał się typem śmiesznym. Alain miał rację. Świadczą o tym rysunki na okładkach książek o Fantomasie sprzed roku 1914. Ponury bohater unosi się jak widmo nad Paryżem. Ubrany jest we frak i cylinder, na twarzy ma czarną maskę a w prawej ręce trzyma długi kozik!

Marcel Alain był nie tylko wyjątkowo płodnym pisarzem, ale również zamiłowanym automobilistą. Kariere dziennikarską zaczął jako felietonista tygodnika „L'Auto“. „Mercedes“, którym ostatnio jeździł, był jego 120-tym samochodem.

wany przez matkę w duchu katolickim, z medalikiem Matki Boskiej Częstochowskiej — poświęconą pamiątką przywiezioną przez ojca z „Tschenstochau“ z 1-ej wojny światowej — ma już swoją tradycję w literaturze naszej z okresu wojen napoleońskich: „W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje — vivat Polonus, unus defensor Mariae“.

Następne opowiadanie „Echa Treblinki“ o wspaniałym okazie wytresowanego wilczurka i jego właścicielu — SS Hauptsturmführerze, o 2 weterynarzach, niemieckim i żydowskim, którzy obaj świetnie rozumieją psią „duszę“ jak i ohydną pustkę duchową jego pana, wytresowanego w hitlerowskich szkołach partyjnych, świetnie będzie zrozumiane przez tych, którzy przeżyli obóz koncentracyjny. Powinno być przełożone na język niemiecki, jako najlepsza i obowiązkowa lektura dla tych „dobrych“ Niemców, którzy dziś zajmują się naprawianiem wyrządzonych krzywd. Bardzo pouczająca lektura dla tych — którym tak trudno uwierzyć w prawdę gestapowskich wyczynów.

Herr von Thadden winien również przeczytać to opowiadanie, nim wejdzie do niemieckiego parlamentu. Może niewiele skorzysta, dowie się jednak, że tresura psa-wilczurka — ma również dwa końce, jak każdy kij i może się zwrócić przeciwko oprawcom.

* * *

Opowiadanie „Mów mi wuju“ mówi o drodze żołnierza-tulacza powrześniowego idącego przez Węgry, Jugosławię i Włochy — przez więzienia i obozy, by dotrzeć do polskich szeregów i „by podjąć na nowo „Wielką Przygodę“. Dzieje podchorążego Romana i „wuja Kowalskiego“, choć odkrytego w tak pospolitych czynnościach — to mimo wszystko malownicza karta z drogi żołnierzy polskich w ostatniej wojnie.

Epizody z dziejów Warszawy podziemnej i Warszawy walczącej w powstaniu — z ciekawymi, oryginalnymi spostrzeżeniami o działaczach i żołnierzach tego okresu znajdują oddźwięk w kolejnych opowiadaniach „Trzech Budrysów“, „Kwatera na Mokotowie“ i „Odwiedziny u Matki“.

Z okupacji niemieckiej przynosi nas następne opowiadanie do raju sowieckiego, do celi więziennej NKWD, — relacjonowanych autorowi w jego nowojorskim czy innym amerykańskim mieszkaniu — dobrze wyczułe i przekazane przez autora.

„Na leśnej polanie“ — drukowane poprzednio chyba w „Wiadomościach“ — pozwala domyślać się, że przedstawiony tu został smutny epizod z życia jednego z generałów, który zaraz po wojnie ze Szkocji wrócił do Kraju, gdzie powierzono mu likwidację „band leśnych“ — bohaterskich, w beznadziejnej sytuacji prowadzonych walk ostatnich oddziałów powstańczych Armii Krajowej. Nie trzeba wymieniać nazwiska. Wszyscy go pamiętają.

Są ludzie, którzy wierzą w „trzy-nastkę“ i są inni, dla których cyfra ta jest feralna we wszystkich odmianach. „Trzy razy trzynastka“ to opowiadanie, oparte na tym przesądzie. We wspomnieniu pośmiertnym o zmarłym w Stanach Zjednoczonych — po wydostaniu się z Kraju, poprzednio z więzienia Bezpieki, a w pierw jeszcze NKWD wybitnym działaczu politycznym Stronnictwa Ludowego wiara jego w feralność „13-tki“ i wszystkie jego przesady zostały podkreślone.

Opowiadanie to zapewne o jego więziennych losach mówi.

Trzy dalsze opowiadania, chyba najbardziej tragiczne ze wszystkich, ale dobrze nakreślone i ujęte. Losy ludzi w więzieniach rosyjskiej NKWD, ale urzędującej w Polsce. „Nasz system nie ma błędów“ — chwalą się oprawcy sowieccy, gdy po wyczerpaniu całego repertuaru fizycznych tortur, zastosowano najbardziej wymyślne, psychologiczne.

Dobrze, nawet świetnie ujęte charakterystyki i postawa nieszczęśliwych więźniów, szczególnie pięknej łączniczki A.K. Ireny Korybut. Wydaje się, że autor jest znakomitym znawcą urody kobiecej.

Oprawca Wołków znany już z poprzednich opowiadań rzeczywiście zasłużył na awans. Potwór.

„Witaj jutrzeńko swobody“ i „Po południu w Chelsea Cloisters“ wydaje się aż nieprawdopodobne, ale nadaje się dobrze do wykorzystania filmowego.

W tym i w 2 opowiadaniach dalszych, ostatnich autor wkacza już

na teren emigracji. Znane bloki klasztorne na Chelsea — szczególnie w pierwszych latach wojny i po wojnie były zapewne miejscem niejednych i niezwykłych spotkań. Do najdziwniejszych należy przytoczone przez autora.

Cykl niezwykłych essay'ów zamykają dwa chyba najtragiczniejsze opowiadania.

Dzieje porucznika Tomasza Mannerskiego, oficera zawodowego, następnie porucznika 2 Korpusu — który pod wpływem przeżyć swych i swej rodziny uważa, że „trzeba zabić w sobie pamięć przeszłości i skończyć z tym wszystkim co ją przypomina“ — kończą się krótką notatką dziennikarską o Tomaszu Mannersie, który obrawszy sobie nowy zawód zegarmistrza, ginie schwytany i wciągnięty w mechanizm jednego z zegarów wieżowych.

Niemniej tragiczne opowiadanie — spowiedź b. akowca i więźnia Oświęcimia, gdzie go wyznaczono do ekipy w krematorium a na uchodźstwie w Stanach, szukając pracy mimo dyplomu inżyniera agronoma — wylądował w pierw w zakładzie pogrzebowym, a następnie jako pielęgniarz w domu wariatów. A po doświadczeniach z Bezpieką, do Kraju wrócić nie chciał.

Autor, który przeszedł cało i szczęśliwie okupację niemiecką z jej tak skomplikowanymi zagadnieniami i trudnościami na ważnym posterunku w państwie podziemnym, a następnie pierwsze lata rządów w Warszawie ludzi nastanych „działających w imieniu Kremla“, by wreszcie wyostać się na zachód i dzielić trudy i troski uchodźcze, światła i cienie „Polski Walczącej“ jest jak akumulator naładowany własnymi i cudzymi przeżyciami.

„Między młotem a kowadłem“ jest pierwszą próbą przekazania tych przeżyć, pierwszą literacką pracą jego.

Oderwany od pracy politycznej, od codziennych zagadnień aktualnej działalności na ważnym stanowisku w Waszyngtonie czy Nowym Yorku — Stefan Korboński wydał interesujący tomik opowiadań i wspomnień. Należy go zachęcić do dalszych, na pewno odnajdzie swój własny styl. Prostota jest też wielką zaletą.

(Dokończenie obok)

POETA W „WESELU“ I W ŻYCIU

POD wrażeniem wesela L. Rydla Wyspiański zamierzał, jak wiadomo, napisać komedię arystofanesowską, wytykającą obecnym ich śmieszności i wady. Lecz dzięki jego wyobraźni przemieniła się ona w narodowe misterium, wskutek ich konfrontacji z widmami, będącymi odbiciem ich wewnętrznej prawdy czy tęsknot. Nie mniej grono gości, zwłaszcza tych „z miasta“, zachowało swe typowe i osobiste cechy. Są to Radczyni, czyli doktorowa Pareńska z dwoma córkami, Gospodarz tj. Włodzimierz Tetmajer, jego przyrodni brat, poeta Kazimierz Tetmajer, Dziennikarz tj. redaktor **Czasu** Rudolf Starzewski i Pan Młody tj. Lucjan Rydel, na tle wiejskiej gromady, z której wysuwają się na pierwszy plan zadzierzysty chłop Czepiec, Żyd karczmarz i ksiądz...

Na ogół należy przyjąć trafność charakterystyki wymienionych postaci, może nieco złośliwej zwłaszcza jeśli chodzi o Rydla, o czym świadczą liczne jego późniejsze dodatki biografii. Od niedawna istnieje możliwość sprawdzenia charakterystyki również Poety, tj. Kazimierza Tetmajera, dzięki obszernemu studium o nim Krystyny Jabłońskiej*). Pomimo jej ubolewania na brak dotyczących go dokumentów, nieistniejących rękopisów głów-

*) Krystyna Jabłońska: Kazimierz Tetmajer. Str. 302. Wydawnictwo literackie, Kraków. Bibliografia. Indeks nazwisk. Spis ilustracji.

A skoro tematyka wojenna, działalność pod niemiecką i sowiecką okupacją jak i pod rządami tylko z pozorów własnymi, ciągle i długo jest i będzie aktualna w naszej literaturze, opowiadania świadków historii są ważnym i podstawowym elementem tych prac pisarskich.

I wbrew szumnym tytułom tych, którzy usiłują prawdę przeinaczyć czy przerobić ją na swój sposób „trzeba głośno mówić“ o relacjach świadków historii.

Autorowi należy życzyć dalszych wysiłków w jego pracach z dziejów tego przełomowego okresu.

nych jego dzieł, co utrudnia poznanie jego warsztatu literackiego, a nawet jakichkolwiek drobiazgów, świadczących o jego zamiłowaniach osobistych — jego obfita korespondencja z Ferdynandem Hoesickiem i liczne listy o nim jego znajomych wystarczają, aby wyrobić sobie zdanie o jego charakterze i moc zestawić jego duchową sylwetkę z postacią Poety w **Weselu** Wyspiańskiego.

Przed wszystkim, jako przyrodni brat Gospodarza, wydającego za mąż siostrę żony; Kazimierz jest w jego domu jakby u siebie. Zapytany przez Pana Młodego: „Jakże ci tu na weselu?“ odpowiada: „Zdaje mi się żem Pan Młody“. Zachowuje się też zgodnie ze swym usposobieniem, z nonszalancją i erotomanią, które Wyspiański trafnie podpatrzył..

Autorka biografii K. Tetmajera cytuje jego powiedzenia do znajomej Zofii Gąbińskiej: „Dla mnie nie ma kobiet obojętnych, każda w moim życiu coś znaczy“. A kobiet tych było wiele, zaczawszy od pensjonarek, które rozkochiwał swymi lirykami, kilku oficjalnych narzeczonych i to z posagiem, którego poszukiwał, oraz wielu przygodnych miłostek, np. ze statystką, tańczącą w jego **Zawiszy Czarnym**, która urodziła mu nieślubnego syna. I pomimo, że podobno każdy jego erotyk inspirowała inna, konkretna „dama serca“ w liście do Ferdynanda Hoesicka, z 17-go lipca 1899 r., K. Tetmajer skarży się: ... „kobiety, zupełnie bez przesady, rzucają mi się wprost na szyję“ i nudzą go tak, że czuje się szczęśliwy, „kiedy w letni, słoneczny dzień, położę się na Reglach, sam...“.

Ale spotkawszy na weselu Marynę (Pareńską) natychmiast z przyzwyczajenia ją prowokuje:

„... żeby mi tak rzekła, która, sercem już dysponująca, tak po prostu, no chcę ciebie, jak jaka wiejska dziewczyna...“ Tylko, że Maryna odcina się: „... Pan Poeta, Pan Poeta, ja o Pana się przelekła, że ta strzała niespodziana może trafić, ale Pana! Słucham co to za wymowa“. Aż Poeta wycofuje się: „Słowa, słowa, słowa, słowa...“.

Więcej zajmuje Poetę inna postać, która zjawia się niespodzianie, urzeczona roztańczoną chatą, mianowicie Rachelę, córka Karczmarza. Charakteryzuje ją jej ojciec:

„moja córka to kobita, a jest panna modern całkiem. Jakie tylko książki są to czyta... no, zna cały Przybyszewski...“.

Lecz jest to postać fikcyjna, stworzona przez Wyspiańskiego, jako partnerka poetyckiego dialogu z Poetą. W rzeczywistości była to Pepa Singer, mająca wówczas 16-cie lat, która uwierzywszy w narzuconą jej sylwetkę, upozowała się na zaw sze na Rachelę, stając się wykoleoną kawiarnianą towarzyszką cygarnierii krakowskiej.

Tymczasem Poeta korzysta z okazji, aby nawiązać kontakt z Rachelą: „Pani mnie interesuje! Oto od stóp, głowy, do nóżek — Galatea!“ — Na to Rachelę: „Co? ja nimfa? To samo mi właśnie powtarza pewien koncypiant jurysta“ — cóż kiedy on...“ „nie indywidualista“. Więc Poeta zaciekawiony: „czegóż pani życzy?“. Rachelę ma gotową odpowiedź: „miodu, rozkoszy, słodyczy miłości, roznamiętnienia i szczęścia“. Poeta konkretyzuje: „A miłość wolna?“ Rachelę przynajmniej się: „Tak marzyłam o tym zawsze“.

W dalszej scenie Rachelę daje upust swej pozie: „chcę poetyckości dla was i chcę ją rozdmuchać. Zaproście tu na wesele wszystkie dziwy, kwiaty, krzewy, pioruny, brzęczenia, śpiewy...“ Poeta wpadając w jej ton dorzuca: „I **Chochoła!**, Rachelę zachwycona: „Teraz Pana pochwałę! Adje! Ta jedna chwilka! Pan mnie zajął. Pan teraz poeta!“.

Wobec tego Poeta wzywa Państwa Młodych, by na swe wesele zaprosili **Chochoła**. Czyli Poeta i Rachelę, swym wzlotem w poetyckość są twórcami czaru tej weselnej nocy, w której widma, wywołane przez **Chochoła**, ukazą „co się w duszy komu gra, co kto w swoich widzi snach“...“.

I Poeta, którego przyjaciel Rydel przestrzegali, zwłaszcza z powodu zarobkowych powieści: **Anioła**

JEDNYM TCHEM — NA PRZEŁAJ

ISTOTNIE, jednym tchem chciałoby się pochłoniąć treść tej niezwykle ciekawej i tak bardzo wartościowej książki. Jasne kolory dawno minionych dni spletają się w niej z ciemnym przędziwem współczesnych problemów, tworząc bogatą tkaninę różnorodnych tematów, od których trudno się oderwać. Tyle trafnych uwag należałoby cytować dosłownie, tyle barwnych opisów przyrody nasuwa się do powtórzenia.

Książka, którą właściwie można by nazwać „książeczką“, gdyby nie olbrzymia rozpiętość tematów, jakie się mieszczą na tych nielicznych kartkach — obejmuje pięć szkiców, z których każdy wyraża inne nastroje, porusza odmienne zagadnienia.

Kajetan Morawski „NA PRZEŁAJ“, Polska Fundacja Kulturalna, LONDYN, 1969.

śmierci i Panny Mery: „nie obniżaj lotu“, daje się unieść porywowi wielkości:

„...gdyby tak ustroić się w róże i wejść na ogromny stos drzewa i pokazać jak śpiewa człowiek, co w różach na czole umiera... To byłaby siła...“

Albowiem [współcześnie K. Tetmajer pisze *Zawiszę Czarnego*, więc...

„...Taki mi się snuje dramat, groźny, szumny, posuwisty, jak polonez gdzieś z kazamat (...) bohater w zbrojej, skalisty, ktoś jakby złom granitu...“

Ale przed swym bratem Gospodarzem spowiada się ze swej słabości i zawodów:

„...tak by się nam serce śmiało do ogromnych, wielkich rzeczy, a tu pospolitość skrzeczy, a tu pospolitość tłoczy, włazi w usta, w uszy, oczy, duch się w każdym poniewiera...“

Dlatego, gdy jemu ukazują się widmo Rycerza czarnego, który pyta się go z wyrzutem: „A wiesz czym ty mogłeś być? — Zwiastun“!

Pierwszy z nich, jak to zresztą tytuł zapowiada, jest dziennikiem podróży do Afryki Południowej. Te przemile, w stylu gawędziarskim utrzymane zapiski, należą do najbardziej pogodnych z całego zbioru. Może dlatego, że rozjaśniają je „dwie płowe główki“ wnuków oraz ciepłe uśmiechy córki i zięcia, którzy oczekiwać będą autora po drugiej stronie równika.

Spokojny rytm życia holenderskiego statku, na którym amb. Morawski opuszcza Antwerpię 19 lipca 1963 r. uspokaja skołatane gwarem Paryża nerwy i sprzyja rozmyśleniom. Rozważania nad Odami Horacego, Panem Tadeuszem i angielsko-francuską beletrystyką, zaciemnia na chwilę temat życia i śmierci, do którego autor będzie nieraz powracał w ciągu tych pięciu opowiadań. Uwaga wydaje mi się tak piękna, że muszę ją tu powtórzyć: — „Bo istotą starości jest zmęczenie.

POETA W „WESELU“ I W ŻYCIU

I stara się go porwać tam gdzie jest: „olbrzymów dzieło, Witold, Zawisza, Jagiełło“. Poeta dostrzega tylko pod jego przyłbicą... „śmierć, noc“. Rycerz był tylko złudą! Poetę nie stać na wielki czyn, bo życie swoje rozmiął na drobne...

Niemniej widmo Rycerza wstrząsnęło nim: „Poczułem na szyi arkan. Polska to jest wielka rzecz. Podłość odrzucić precz. Wypisać świętą sprawę na tarczy jako ideę, godło...“ I przyznaje się Marynie, będącej również pod wrażeniem czarowanej nocy, że poczuł się **przemieniony**, przy czym jego spowiedź jest może najtrafniejszą charakterystyką Kazimierza Tetmajera.

„...jest ktoś co mnie wiąże do roli i ktoś, co mnie od roli odrywa; jest ktoś co mi skrzydła rozwija i ktoś co mi skrzydła pęta;

— — — — —
jest jakaś ręka święta i jest dłoń inna przeklęta; jest szczęście co się ze mną mija i nieszczęście, które mnie tuli“.

Biografia Krystyny Jabłońskiej potwierdza rozterkę Kazimierza Tetmajera, między tęsknotą do wielko-

Coraz lepiej rozumiem sens modlitwy za umarłych: Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie. Ale dla tych co umierają młodo, powinniśmy prosić o wieczną radość. Tylko, że cóż oznacza młodość i starość, wobec nieskończoności? Jest ponad nami ktoś większy od nas i właśnie On między pełnią życia a nirwaną postawił znak równania“.

Przyjazd do Capetown 4 sierpnia, opromienia radość powitania z pp. Ledóchowskimi oraz ich dwoma chłopcami, o których autor pisze ze wzruszającą miłością. Szeroką aiustradą, otoczoną palmami i mimozami dojeżdża cała rodzina do Somerset-West, gdzie następuje trzydniowy postój w domu polskiego pomologa, Franciszka Rozwadowskiego, który kieruje tamtejszą farmą. Po trzech dniach, wypełnionych wycieczkami w okolice, wyjazd do Johannesburga, dokąd p. Ledóchowski go wzywają obowiązki służbowe.

ści, a brakiem charakteru aby ją zdobyć, co ujawnia spowiedź, jaką czyni za niego Wyspiański.

Nieszczęście rychło zaczęło go tulić... Twórczość jego staje się coraz więcej zarobkiem, poza **Skalnym Podhalem**; niszczą go choroby i wzrastająca ślepotą; nachodzi go mania prześladowcza, wreszcie tragedia jego syna, którego nie umiał wychować i który popełnił samobójstwo... Pomimo kilku jubileuszów ogół zapomina go tak, że żyje tylko z łaski ks. Seweryna Czetwyńskiego, który ofiaruje mu dożgonnie pokój w Hotelu Europejskim, a Zrzeszenie Restauratorów darmowe posiłki. Skoro w styczniu 1940 r., Niemcy zarekwirowali Hotel Europejski, zajął się ciężko chorym Kazimierzem Tetmajerem dr Okólski w imieniu **Szpitala Dzieciątka Jezus**, gdzie wkrótce zmarł 18-go stycznia.

Niegdyś, za twórczych lat Kazimierza Tetmajera, mówiono o nim, że nauczył Polskę czytać wiersze. Lecz jeszcze za swego życia nazwał się „poetą umarłym“. Żyć będzie jednak jako Poeta z **Wesela** Wyspiańskiego.

Jadą okrężną drogą, żeby przybyły z tak daleka gość mógł zobaczyć cuda przyrody afrykańskiej. Przesuwają się więc brzegi Oceanu Indyjskiego, góry, doliny oraz dzika bujność leśnych rezerwatów... Wrażliwa pamięć autora chwytła te obrazy, abyśmy mogli nacieszyć się ich opisem. Jest on tak żywy i plastyczny, że nie drukowanym słowem się wydaje, ale przeżytym przez nas samym wrażeniem.

Wreszcie 9 sierpnia radosne szczerkanie psów wita wracających podróżnych. Położony wśród podmiejskiej zieleni Johannesburga, rozległy parterowy dom pp. Ledóchowskich zaprasza do swego przypominającego polski dworek wnętrza. Wspomnienie rodzinnych stron odżywa też przy spotkaniach z licznie dokoła zamieszkałymi rodakami. I jakże umiejętnie uchwycony jest obraz niedzielnego zebrania przed miejscowym kościołem... Zdaje nam się, że słyszymy gwar głosów, radosne powitania z dawnymi znajomymi i nagłe wybuchy politycznych opinii.

Przed odejściem od tego w słońcu afrykańskim skąpanego obrazka, przytoczę tu jeszcze jedną z wielu stylistycznych perełek, świadczących, jak subtelnie autor wyczuwa piękno otoczenia. — „Róże rozkwitły nagle z tym pośpiechem i tym szaleństwem, które cechują tutejszą przyrodę“.

I już dziennik notuje datę 5 października i odjazd samolotem do Paryża. Więc jeszcze rzucamy żalodne spojrzenie na tyle ciekawych tematów, które trzeba było przeskoczyć i już przechodzimy do drugiego szkicu. Wprawdzie tytuł jego zapowiada „Dalekich krewnych i bliskich znajomych“, jednak głównymi czynnikami w nim są właściwie „czworożni przyjaciele“. Więc poznajemy kota min. Szembeka, współczujemy niespodzianej śmierci przypadkowo napotkanego psa, który potrafił odróżnić gazetę po jaką go wysyłano, ale zaufał zbyt kuchcikowi w zaprzyjaźnionej restauracji. Ofiarowane mu mięso było nieświeże i biedny wilczur zginął marnie na środku ul. Wierzbowej. Takich „psych“ historyjek jest bardzo wiele i wszystkie świadczą o wierności oraz wyjątkowej inteligencji tych stworzeń. Zakresu wielkiej polityki dotyka po-

średnio wspomnienie o zrodzonej w dalekiej Azji panterze, która zażegnała ostry spór między dwoma wysokimi urzędnikami polskimi“. Ze spaceru po jasnym terenie przeszłości wchodzimy w cień wspomnienia o trzech współpracownikach dyplomatycznych amb. Morawskiego, którzy umarli przed niewiele laty. Jest to właściwie potrójny nekrolog, ciepły i pochwalny. Na zakończenie opowiadania o tych tak różnych od siebie ludziach, autoor, składa hołd kadrze, do której wspólnie należeli“.

Centralną postacią czwartego szkicu jest Stanisław Mikołajczyk, który przewodził wówczas ludowcom w samorządzie rolnym. Autor, który w tym okresie opuścił czasowo służbę zagraniczną, około 1926 roku, został wybrany prezesem Wielkopolskiej Izby Rolniczej. I na tym terenie spotkał się po raz pierwszy z Mikołajczykiem. Mimo różnicy poglądów politycznych będzie go stale oceniał z zupełną bezstronnością. Oto mała próbka: „W dyskusjach na tematy fachowe był partnerem trudnym, bo broniał swoich poglądów uparcie, ale zawsze ściśle i rzeczowo“.

Krótkie lata niepodległości kończy agresja niemiecka. Jesienią 1939 roku spotykają się obaj w Paryżu — już jako uchodźcy.

Polityczne rozmowy przy kawiarnianych stolikach kończy szybko upadek Francji. O własnych przeżyciach w tym tragicznym okresie pisze autor bardzo niewiele. Sekretariat generalny uchodźczego MSZ w Londynie, stanowisko ambasadora przy tymczasowym rządzie francuskim w Algierze, a wreszcie ambasada w oswobodzonym Paryżu — oto kolejne etapy na wygnańczej drodze autora. O samym Mikołajczyku też nie spotykamy dużo wzmianek.

Teraz zaś, patrząc na Mikołajczyka z perspektywy lat tak pisze o nim w końcowych zdaniach tego szkicu: „Dziś, kiedy odszedł od nas, wspominam go serdecznie. Był serdecznym i szczerym, przytłoczonym przez fatalizm dziejów Polakiem...“

I tak zatrzymując się po drodze przy dziesiątkach różnorodnych problemów, dochodzimy do piątego i już ostatniego szkicu tego zbioru. Jest on jakby kontynuacją „Dzien-

nika podróży“, gdyż rozpoczyna się datą powrotu autora z Afryki. Jesteśmy znów w Paryżu, gdzie amb. Morawski mieszka już teraz stale.

„Notatki na marginesie“ nie mają jednak metodycznej formy codziennych zapisków. Są one raczej rzućkami myśli, rozsianymi na przestrzeni dłuższych okresów czasu.

Z ciekawych refleksji na temat dzisiejszego Paryża, gdzie „dość przymknąć oślepięte blaskiem oczy i ogłuszony zgłębkiem pogrążyć się w ciszy. Bo wszelkie równoległe przecinają się w nieskończoności“ — przechodzi myśl autora do wspomnień przeszłości. Młodzieńczy zachwyt nad Cyranem de Bergerac i grą J. Leszczyńskiego ustępuje szybko miejsca uwagom o malarstwie.

Mimo, że z tego szkicu nie promieniuje ciepło afrykańskich wspomnień, a ton jego jest raczej minorowy, jednak i tu musimy podziwiać olbrzymią rozpiętość zainteresowań autora oraz niezmienny piękny styl i język.

Refleksje na temat sztuki są tak niezwykle, że muszę choć na chwilę zatrzymać się przy jednej z nich: „Pytano mnie niedawno“ pisze autor „jak oceniam wpływ sztuki na życie. Sądzę, że samo zapytanie jest wadliwe. Należało by raczej mówić o nieustannym wpływie życia i sztuki wzajemnie na siebie“.

Notatki z czerwca 1964 r. choć jak zwykle bogate w głębokie i trafne spostrzeżenia, są niemal bolesne w swym zawołanym lekką ironią pesymizmie. Te smętne myśli, tak sprzeczne z radosnym rozkwitem natury, krystalizują te oto słowa — „Rozglądając się w czasie akademii patriotycznej po trybunie przydialnej, nie mogłem opędzić się od myśli, ile zgromadziło się na niej zawałów serca, katarakt, gościów i paraliżów mniej lub więcej postępowych. Żadna encyklopedia medyczna nie wystarczyłaby na wyliczenie dostojnie przez nas reprezentowanych schorzeń“.

Na szczęście, wyjazd po dwuletniej przerwie do gościnnego domu w Baupré „rozjaśnia znów te ponure nastroje. Lotaryński krajobraz przypomina czasy Stanisława Leszczyńskiego. O smakoszowstwie króla-wygnańca świadczą bułeczki

(Dokończenie ze str. 28)

Prasa o Witoldzie Gombrowiczu

„Europejski samotnik“ — tak określają polskiego pisarza niemieccy autorzy wspomnień pośmiertnych: Armin Halstenberg (Kölner Stadt-Anzeiger“) i Marianne Kesting („Frankfurter Allgemeine Zeitung“).

Halstenberg, w artykule „Życie pod prąd czasu“, określa zmarłego pisarza jak następuje: „Fascynującym jak jego książki: „Uwiedzenie“, „Ferdynurke“, „Dziennik“, „Transatlantyk“, „Poszlaki“ i „Notatkę berlińską“ — wszystkie wydane przez Neske-Verlag — jest ich autor: Polak, a równocześnie obywatel całego świata, katolik i ateista, marksista i antymarksista, poszukiwacz przegód, biegły dialektyk, zamiłowany w eleganckich paradoksach, arystokrata ze skłonnością do 'niskiego życia'. Człowiek, który nie pasował do żadnej kategorii: 'Jestem moim własnym istnieniem i moim własnym dramatem'“.

Autor wspomnienia wyjaśnia, że tzw. realność stawała się dla Gombrowicza, po przewartościowaniu wszystkich wartości, odpiwem dla przymusów, gry z maskami, przekonani i myśli. Dramatem jego był dylemat między otaczającym światem, z którym „ja“ indywidualne nie może się zidentyfikować, i własną projekcją tego „ja“, której świat otaczający nie chce uznać.

„Temu to dylematowi przeciwstawił nietszcheński Olimp pięknego opozoru, świadomą fikcją sztuki i jej inscenizację życia. Jego książki są groteskowo-tragicznymi widowiskami, reżyserowanymi przez Gombrowicza, który siebie i swe postacie wpędza w przerażające sytuacje“.

Jego tematem — powtarza Halstenberg za Gombrowiczem — „jest zniszczenie formy przez niedojrzałość: program romantyczny, bo antyklasyczny, przeciw wszelkiemu ustalonemu porządkowi, którego wartości już dawno wolały o znak zapytania“.

(Dokończenie ze strony 27)

sprzedawane dziś jeszcze obok jego pałacu w Commercy. Wyrabiała je sprowadzona z Polski kucharka Magda. Któż mógł wówczas przypuszczać że te „madsleine'ki“ rozejdą się po całej Francji jako najbar dziej ceniony smakołyk?

Grudzień 1967 r. jest ostatnim etapem tych notatek na marginesie czasu. Raz jeszcze dzieli się tu z nami autor bogactwem swej erudycji w uwagach na temat malarstwa Ingres'a oraz poezji Baudelaire'a.

Autor uważa, że jest to metoda, która po Tomaszu Mannie dopiero, albo też — jeszcze — umożliwiła dzisiaj wielką literaturę. Nazywa pisarza w zakończeniu literackim samotnikiem, który przeżył swe życie pod prąd czasu: „uśmiercany milczeniem w Argentynie, w swej ojczyźnie po okresie odwilży — ponownie zniesławiony, w Europie prawie zapomniany, albo jeszcze nie poznany. Niestety.“

W szwajcarskim „Neue Zürcher Zeitung“ poświęcił zmarłemu pisarzowi dłuższe wspomnienie François Bondy. Pisz on na wstępie:

„Gombrowicz był zawsze twórcą politycznym, z wycuciem historyczności, a równocześnie pełen był ironii stwarzającej dystans, pełen szyderstwa i kpin wobec wszystkiego co odczuwał jako pokrewieństwo między historią a niedojrzałością, między epokowym wydarzeniem a tym, co w człowieku jest nierzetelnego, infantylnego, co jest wrazem zdziecinienia i czemu przeciwstawia młodość z jej talentami i żądaniami“.

W sztuce „Operetka“, której prapremiera odbędzie się w jesieni i która jest trzecią a zarazem ostatnią sztuką pisarza, naznaczonego już śmiercią podczas jej pisania, finał jest „tryumfem życia i młodości“, podczas gdy ostatnia sztuka Ionesco jest „tryumfem śmierci“. W finale tym naga piękność wyskakuje z trumny, w której ją pogrzebano. Uwiedzenie tej piękności było zakładem zrobionym przez dwóch lo-welasów. W międzyczasie minęły wojny, komunistyczne i faszystowskie rewolucje, przedstawione na scenie jako pokaz mody historycznych kostiumów. Tryumf odnosi nagie życie i młodość.

„Witold Gombrowicz“ — pisze dalej Bondy — „lubił przedstawiać się z teatralną chełpliwością jako prorok wszystkich współczesnych wstrząsów świadomości“. Świadczą o tym także jego rozmowy z Dominikiem Roux (Neske-Verlag), które są właściwie dziełem całkowicie przez niego stworzonym. On to istotnie zapoczątkował egzystencjonalizm — informuje swych czytelników Bondy — powieścią „Ferdynurke“, opublikowaną w Warszawie w tym momencie, kiedy Sartre ukończył swą słynną „Nausée“. Książkę tę, okólną drogą poprzez hiszpański przekład, który ukazał się w Argentynie, poznała zachodnia Europa z 20-letnim opóźnieniem.

W związku z inną książką „Poszlaki“ („Indizien“), która miała największe powodzenie w Francji, uważał się on za wieszca strukturalizmu i za autora

tłumaczącego radykalną rewolucję młodzieży. Oczekiwał jej istotnie od dawna jako zjawiska właściwego czasowi powojennemu. Później przestraszył go, ale tylko tym, że zadowolili się szybko kliszami starego pokolenia.

Należał on, jak to wcześniej określił jego komentator Konstanty Jeleński do literacko-artystycznego kierunku „antykultury“. „Kultura jest dla niego jako tradycja, jako formacja, wyrazem woli władzy, przedwczesnym wytłaczaniem tego co jeszcze nie zostało sformowane, co jest nowe: wygodną sztuką dla ludzi nietwórczych, wyrazem udawania 'dojrzałości'. Miast tego powinni się ludzie trzymać własnej niepewności, zachowywać dystans od podanej im formy, aby dopiero ze świadomości tego napięcia między tymi co dawniej zostało sformowane i tym co się domaga nowej formy — dojść do wartości istotnych“.

Gombrowicz — wróg kultury — był do głębi przesycony kulturą. „Kultura i antykultura, potęga i bunt (w sztuce „Ślub“), konwencja i parodia) — te dopełniające się przeciwieństwa są często rozgrywane, zarówno w jego powieściach jak i sztukach, w teatralnych napięciach i wszelkiego rodzaju poje-dynkach“.

Autor podkreśla tutaj przeciwstawianie „Polski“ i „całego świata“. Gombrowicz rozprawia się z polskim losem i polskimi pisarzami w znacznej części „Dziennika“. Wyśmiewa on tam „agresywnie polską pretensję, że cierpień wyciągnąć może naród szczególną mądrość“. Kultowi „polskości“ poświęcona jest groteskowa powieść „Transatlantyk“.

Ta postawa Gombrowicza była „leczniczym szokiem“ — mówi Bondy — który zmusił do myślenia — i wiele w samokrytycznej, zupełnie nie sentymentalnej literaturze nowej Polski — np. Mrozek — świadczy o wpływie Gombrowicza, do którego przyznali się całkowicie polscy intelektualści w czasie krótkiej odwilży, kiedy był w Polsce drukowany i wystawiany“.

Ale był on również przeciwny bezkrytycznemu przyjmowaniu form Zachodu, a mianowicie Francji. Chodzi mu tutaj o konieczne i stałe nowe napięcie, a nie o żądanie rezygnacji całkowitej z jednej formy.

„Witold Gombrowicz był filozofem, który podawał się za antyfilozofa i literackiego kłowna“. Autor przytacza tutaj własne słowa pisarza, że „jego sława stworzyła postać zwaną 'Wi-

told Gombrowicz', składającą się z kilku idei, paradoksów, manieryzmów, ale ma nadzieję, że znajdzie siły, aby się ich pozbyć i zrzucić tą gombrowiczowską maskę". Niestety, sił tych juk nie znalazł.

„Życie było dla niego bezustannym procesem myślenia, szeregiem umysłowych pojedynków, z groteskowym pobijaniem dystansów“ — mówi dalej autor — i kończy: „Wpływ Witołda Gombrowicza prawdopodobnie dopiero się zaczyna, nie tylko na Wschodzie gdzie, choć szkalowany, stanowi tajemniczą siłę umysłową. Gombrowicz był na wskroś niezależnym, oryginalnym i zaskakującym pisarzem. Kto był z nim związany, nie może sobie łatwo wyobrazić, że artysta tak jeszcze bogaty w 'niewypowiedziane' i 'nowe', nie należy już do żyjących — nawet jeżeli przez długi jeszcze czas należeć będzie do działających“.

„Śmiertelnie dotknięty“. — Do pracy niemieckiej dostał się również fragment „Dziennika“ Gombrowicza, drukowany w paryskiej „Kulturze“ (Nr. 7/262 — 8/263 z 1969 roku).

Szkoda chyba, że ten właśnie fragment, w którym pisarz wyraża się lekceważąco o Lechoniu („Altissimo Poeta“) i Józefie Mackiewiczu („Hetman“) dostał się w ręce niemieckie zanim czytelnicy tego kraju mogli zapoznać się z twórczością obu polskich pisarzy. „Ta zatęchła piwnica, jakim sposobem usadowiła się w naszym duchu?“ — pisze tam Gombrowicz. — „Czyżby ślepotą na świat naiwność, ignorancja były następstwem utraty niepodległości? Ależ Polska za Sasów była bezkonkurencyjnie najgłupszym krajem w Europie, a i za Jagiellonów Polak kroczył w ognie narodów cywilizowanych, gdy Francja miała Rabelais-ego i Montaigne'a, my — Reya i Kochanowskiego“.

Szkoda, że czytelnikom niemieckim, którzy nic nie wiedzą o Unii Krewskiej (1385), Horodelskiej (1413) i — Lubelskiej (1569), która-to unia tak bliska była w czasie „nocy św. Bartłomieja“ we Francji (1572), podano do wiadomości tak złą opinię pisarza polskiego o Polsce Jagiellonów!

Opublikowany po niemiecku fragment „Dziennika“ zawiera również krótki opis pierwszego zawału serca i następujących po nim kilku ataków. „Nie umarłem“ — napisał tam Gombrowicz — „ale jednak coś we mnie zostało dotknięte śmiercią — tamto sprzed choroby jest jakby za murem. Powstała jakaś nowa trudność pomiędzy mną a przeszłością“.

„Polak na wygnaniu“ — Ciągłe jeszcze działalność lub bezczynność pisa-

rza zależeć mogą od czystego przypadku“ — pisze w „Die Zeit“ Peter Kliemann — „od łaski albo nielaski konstelacji politycznej, od jego narodowości, mowy, którą się posługuje, a nawet miejsca zamieszkania“. I wyjaśnia swym czytelnikom, dlaczego Europa dowiedziała się o istnieniu prawie już 60-letniego Gombrowicza, tak późno. Mało kto w Europie zachodniej znał jego nazwisko kiedy w r. 1959 we Francji, a w 1960 r. — w Republice Federalnej ukazała się „Ferdydurke“, książka o „walce o swą dojrzałość zakochanego w swej niedojrzałości“.

Książka ta, wydana w r. 1937, zawdzięczała swa ponowne wydanie polskiej „odwilży“, a to właśnie wydanie zwróciło uwagę Zachodu na dzieło Gombrowicza — i równocześnie — na polską literaturę.

Takie zbiegi okoliczności kierowały losami polskiego pisarza. Spóźniona sława otacza powieściopisarza i dramaturga, „autora kilku wielkich, ale dlatego właśnie mało czytanych i stosunkowo mało omawianych w prasie powieści i opowiadań“. Sławę tę zdobył Gombrowiczowi głównie „Dziennik“ (1953-1956), a przede wszystkim „Notatki berlińskie“, w których opisuje on swój powrót do zachodniej Europy na wiosnę r. 1963, ponowne spotkanie z Paryżem, rok spędzony dzięki otrzymanemu stypendium w zachodnim Berlinie.

Kliemann mówi o „opętaniu sobą“ pisarza, dla którego „w literaturze talent, argumentacja, styl. krótko mówiąc: „poezja“ — nie miały żadnego znaczenia, wszystko natomiast znaczyło „oczarowanie“ przez osobę, przez „ja“ piszącego, jego „ja“. „Dla tego Polaka, który nie dowierzał żadnej filozofii, żadnej religii, żadnej tradycji, żadnym wpływom, jedynym autorytetem było, oczywiście, jego własne „ja“. Dlatego też — twierdzi autor — „prawie wszyscy jego protagoniści, aż do panów 'Witolda' i 'Gombrowicza' w 'Poszlakach', w 'Pornografii' i w 'Transatlantyku', identyczni byli z Witołdem Gombrowiczem, który zanotował kiedyś w 'Dzienniku': „Jestem moim najważniejszym, a nawet jedynym problemem, jedynym z moich bohaterów, na którym mi naprawdę zależy“.

Identyczne są także wzorce przeżyć w powieściach i w „Dzienniku“: utrwalająca, decydująca władza innych nad opierającym się „ja“, ucieczka ze skomplikowanej do absurdu sieci powiązań formy, przymusów i zależności — w chaos albo zniszczenie wszystkich tych powiązań. „Ten świat doświadczeń oddaje najlepiej 'Ferdydurke', dzieło według Gombrowicza fundamentalne“.

W porównaniu z surowymi i skomponowanymi prozolinijnie dwiema później-

szymi powieściami: „Pornografia“ i „Poszlaki“ — działa „Ferdydurke“, przy całym zaangażowaniu, prawie igrająco w swej luźnej, otwartej, epizodycznej formie. „Sarkazm i ironia stwarzają dystans. Głębia i bezsens przeplatają się raz po raz, groza przechodzi w komizm — jest to książka o mocy przekonywania burzliwej i zapierającej oddech“.

Kończy autor twierdzeniem, że ten zakazany i atakowany w swym kraju wygnaniec przyniósł współczesnej literaturze polskiej międzynarodowe uznanie. I jakkolwiek „nie był uwięziony w krajoobrazie narodowej literatury, mimo, że zachował krytyczne i sceptyczne stanowisko wobec izolacjonizmu swej starej ojczyzny, widać wyraźnie z jego 'Berlińskich notatek', że pozostał aż do końca Polakiem, że wspomnieniami i doświadczeniami, niepokojami i drażliwościami, obawami o przyszłość, a także kliszami myślowymi Polaka“.

„Wydaje się, iż nie było zupełnym przypadkiem, że wiadomość o jego śmierci nadeszła drogą przez Warszawę“.

K. B.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1969

Kazimierz Wierzyński

SEN MARA

Poezje

Cena: sh. 18/6; F. 11.00; dol. 2.40

Księgarnia S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

Generał Anders o żołnierzu polskim w 2-ej wojnie światowej

Z okazji rocznic polskiego czynu zbrojnego gen. W. Anders udzielił czasopismu „Związkowiec“ wywiadu, z którego przytaczamy tu główne wypowiedzi.

Redakcja.

Na pytanie jak ocenia po tylu latach przebyty szlak, generał stwierdził, że żołnierz polski spełnił swój obowiązek bez zarzutu. Męstwo naszego żołnierza miało swe źródło w wysokim poczuciu obywatelskim i silnej wierze w ostateczne zwycięstwo naszej słusznej sprawy. Zajęcie kraju przez nieprzyjaciela w r. 1939 nie oznaczało dla niego zakończenia wojny, przeciwnie, rozumiał, że jest to tylko etap na drodze do zwycięskiego rozwoju wydarzeń.

Generał był zaskoczony faktem mianowania go dowódcą organizującego się wojska polskiego w Rosji. W pełnieniu powierzonych mu obowiązków miał do pokonania szereg trudności, a wśród nich głównie niechętnie stanowisko władz sowieckich oraz opory psychiczne po stronie polskiej, uzasadnione przeżyтыми cierpieniami w więzieniach i obozach. Musiał tłumaczyć żołnierzom, że powinni zapomnieć o swych bolesnych przeżyciach i przyjąć do świadomości fakt, że sytuacja uległa zasadniczej zmianie i że na obszarze Rosji odbudowuje się jednostki wojsk polskich, które będą walczyć u boku sowieckich wojsk sojuszniczych. Czuwał nad tym, by wojsko nasze zachowało całkowitą neutralność wobec otaczającej nas rzeczywistości. Żołnierze mieli zakaz wypowiadania sądów o swoich przeżyciach w Rosji. Rozkazy te nie zawsze były respektowane. Władze rosyjskie, które dowiadywały się o tym od licznych informatorów, groziły represjami. Znajdowaliśmy się pod stałą kuratelą sowiecką. Dużo było nieporozumień, trudności i przykrości. Generał walczył z nimi zamykając świadomości oczy na różne, wręcz nieprzyjemne posunięcia czynników sowieckich.

Generał nie był z początku zwolennikiem ewakuacji naszych jednostek z Rosji. Przeciwnie, dążył do

ich rozbudowy, jak najlepszego przeszkolenia i wyposażenia. Nie miał najmniejszej wątpliwości, iż najkrótsza droga do Polski wiedzie przez ZSRR. Nie był przeciwnikiem sojuszu z Rosją, ale pragnął zabezpieczenia suwerennych praw oddziałom polskim. Pierwsze trudności natury militarnej, jeśli pominąć fakt — używając ówczesnej terminologii rosyjskiej — zaginięcia kilkunastu tysięcy oficerów polskich, którzy znaleźli się w niewoli sowieckiej, wyłoniły się, gdy dowództwo sowieckie wypowiedziało się za wydzieleniem jednej dywizji najbardziej przeszkolonej tj. 5 dywizji piechoty i skierowaniem jej na front. Abstrahując od tego, że jednostka ta nie posiadała podówczas pełnego wyposażenia, była tylko częściowo przeszkolona i uzbrojona, generał stał na stanowisku, że wojsko nasze nie może być rozparcelowane, natomiast powinno wejść do akcji w całości i pod jednolitym dowództwem. Reakcja sowiecka nie kazała długo czekać na siebie. Zmniejszono ilość racji żywnościowych i zakomunikowano, że nie ma obiektywnych warunków do dalszego formowania polskich jednostek w ZSRR. Dopiero w następstwie takiego rozwoju wydarzeń zaczął się krystalizować plan ewentualnej ewakuacji.

Z wielu stron zarzucano generałowi, iż wyprowadził wojsko nasze z Rosji, by nie walczyć obok wojsk sowieckich i tym samym przyczynił się do pogorszenia stosunków polsko-sowieckich. Było to co najmniej nieścisle, jeśli nie wręcz fałszywe. Dążył on do ewakuacji dopiero wtedy, gdy sytuację Polaków w Rosji ocenił jako beznadziejną. Odegrał przy tym rolę także czynniki polityczne m.in. interwencja Winstona Churchilla. Gdybyśmy w warunkach jakie istniały pozostali w Rosji, czekałby nas smutny los. Najprawdopodobniej po wyluszkaniu „niepewnych i wrogich“ dowódców, wojsko nasze znalazłoby się pod dowództwem oficerów sowieckich tak, jak się to stało z jednostkami polskimi uformowanymi po naszej ewakuacji.

Dowództwo sowieckie nie wykluczało bowiem, że uda się w drodze „pokojujowej“ opanować wojsko polskie i uczynić je później jednym z elementów w tworzeniu „nowego porządku“ na ziemiach polskich. Gdyby władze sowieckie dały nam minimalną gwarancję lojalności wobec naszych dążeń niepodległościowych i nie ujawniały w różnej postaci swoich zakusów imperialistycznych, generał byłby ostatnim, który by nie chciał najkrótszą drogą wrócić do Polski.

Wyjeżdżając z Rosji generał był głęboko przekonany, że mocarstwa zachodnie posiadają w swoim ręku mnóstwo atutów, którymi potrafią przekonać Stalina o konieczności zmiany polityki wobec Polski. Atuty te istotnie były realne, natomiast brakło ze strony państw zachodnich chęci do ich wykorzystania.

Wojsko polskie walczące u boku aliantów zachodnich było przedmiotem ataków zarówno ze strony niemieckiej jak i rosyjskiej. Trwająca jeszcze długi czas po wojnie kampania oszczerstw pod adresem 2 Korpusu zmieniła się dopiero mniej więcej w połowie lat pięćdziesiątych. Rządzący Polską komuniści uznali, iż byliśmy dobrymi synami Polski i przestali zatajać nasz wkład do wojny.

Mówiąc o pozostaniu naszym za granicą, generał przypominał, że naszym naczelnym działaniem jest przypomnienie wszystkim, iż o losach Polski decyduje Moskwa, a nie Warszawa, że naród nasz pozbawiony jest wolności i podstawowych swobód obywatelskich.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

Powieść

Cena: 15 sh, 2.25 dol. 9.00 F.

Księgarnia SPK

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

ŚP. JERZY STEMPOWSKI

Dnia 4 października odszedł od nas JERZY STEMPOWSKI (Paweł Hostowiec), wielki pisarz, filozof i mędrzec, niezrównany znawca literatury i sztuki, humanista w najlepszym tego słowa znaczeniu — przyjaciel każdego stworzenia.

Pogrzeb Jerzego Stempowskiego odbył się we wtorek 7-go października br. przy licznych udziale jego przyjaciół Szwajcarów, Ukraińców, Czechów i Słowaków, polskiej kolonii w Szwajcarii i reprezentantów polskiej emigracji politycznej z W. Brytanii, Francji i Niemiec Zachodnich.

W kaplicy berneńskiego krematorium — przy trumnie w kwiatkach i dwu dużych wieńcach z szarfami o barwach narodowych, od Klubu Polskiego w Bernie i od Przyjaciół Szwajcarów, byli m.in. obecni państwo Henri i Dienneke Tzaut, u których od kilkunastu lat mieszkał Jerzy Stempowski i którzy stworzyli mu atmosferę domu rodzinnego i prawdziwej przyjaźni. Pan Tzaut jest dyrektorem departamentu sprawiedliwości rządu federalnego, pani Dienneke jest artystką malarką i muzyką, pochodzi ze starej i znanej rodziny intelektualistów Vis van Zaandijk; rodzina H. F. von Tscharnér; sędziwa pani dr Kurz, seniorka opiekunów polskich w Szwajcarii; Hans Zbinden, profesor Uniwersytetu w Bernie, znający Polskę z wielokrotnych w niej pobytów, autor bardzo życiowej dla nas książki pt. „Polen einst und jetzt“; dr Kurt Gaugler wybitny pedagog; pani profesor Bürigi; Otto Nebel, art.-malarz; dr Roman Prokop, prezes Związku Ukraińców w Szwajcarii, oraz dwaj inni Ukraińcy inż. Józef Beran i prof. dr Omelan Nizankowski kompozytor; pani Olga Nevrsilová, Czeszka, docentka Uniwersytetu berneńskiego; dr J. Paszkowski prezes Związku Polskich Organizacji Niepodległościowych w Szwajcarii; Zygmunt Kallenbach prezes sekcji szwajcarskiej Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu; dr Kystyna Marek, profesor Uniwersytetu w Genewie; art.-rzeźbiarz Zygmunt Stankiewicz, prezes Klubu Polskiego w Bernie; Witold

Szydłowski członek zarządu Koła SPK w Solurze; dr Andrzej Vincenz, profesor Uniwersytetu w Heidelbergu; Jerzy Gedroyć, redaktor KULTURY z Paryża i redaktor Wiesław Wohnout z Londynu.

Nad trumną przemawiali: Henri Tzaut w języku francuskim, od grona najbliższych przyjaciół, red. W. Wohnout imieniem „Dziennika Polskiego“ i Polskiej Fundacji Kulturalnej, tygodnika „Wiadomości“ i Związku Pisarzy, Hans Zbinden, po niemiecku w imieniu szwajcarskiego środowiska intelektualnego i Szwajcarów przyjaciół Polski, oraz Kazimierz F. Vincenz, po niemiecku i po polsku pożegnał Zmarłego od Kiermaszu Książki Polskiej,

od jury nagrody im. Anny Godlewskiej i grona współpracowników sekcji polskiej Radia Wolna Europa.

Po obrzędzie pogrzebowym odbyło się staraniem Kiermaszu Książki Polskiej w jednej z berneńskich restauracji zebranie przyjaciół Jerzego Stempowskiego. Tam też urządono małą wystawę publikacji zmarłego pisarza w kilku językach, w sumie około 50 pozycji.

Zainicjowana przez zarząd KPP doraźna zbiórka na FUNDUSZ IMIENIA JERZEGO STEMPOWSKIEGO na pomoc dla studentów i młodzieży w Kraju dała 630 franków szwajcarskich.

Kazimierz F. Vincenz

Notatnik kulturalny

POLSKI UNIWERSYTET NA OB-
CZYŃNIE rozpoczął 20 rok swej pracy wznawiając wykłady z początkiem października. Studia prowadzone są w zakresie polonistyki, historii i kultury polskiej. Specjalne studia zorganizowane są dla przebywających poza Londynem. Szczegółowy ich program podany jest w drukowanym „Informatorze Uniwersyteckim“. Zawiera on także warunki uzyskania stopni naukowych magistra, inżyniera (w dziale nauk technicznych) i doktoratu w zakresie nauk humanistycznych, prawnych, ekonomicznych, politycznych i technicznych.

Sprawozdanie z działalności P.U.N.O. za rok 1968-69 wykazuje, że w 19 roku istnienia uniwersytetu pracowały 2 wydziały i 3 komisje wydziałowe dla ogółu 51 studiujących, w tym 20 kandydatów na magistrów i 8 doktorantów. Ogólna liczba studentów wynosi 67 osób. W ub. roku nadano 3 doktoraty i przeprowadzono jedną habilitację. Poza wykładami prowadzony był kurs dziejów kultury polskiej kierowany przez ks. dr J. Kołodziejczyka. Ukończyło go 20 osób, po 31 dwugodzinnych wykładach.

Po raz pierwszy w tym roku P.U.N.O. objęło swą opieką naukową seminarium duchownego w Paryżu i wydało tam świadectwa maturalne. Niektórzy profesorowie prowadzili wykłady na obcych wyższych uczelniach: rektor prof. T. Sułimirski — na 7 uniwersytetach amerykańskich, a prof. J. Bujnowski — na uniwersytecie w Heidelbergu. Bu-

dżet P.U.N.O. oparty jest o stałe dotacje Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą, Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim oraz o opłaty studentów.

RED. J. WOŹNIAKOWSKI Z KRAKOWA mówił w ramach „Spotkań Veritasowych“ na temat „Kartek z dziejów polskiej inteligencji“ w sali Instytutu Polskiego. Prelegent, który jest członkiem redakcji katolickiego czasopisma „Znak“, współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego“ i wykładowcą Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, przedstawił w formie studium historyczno-socjologicznego okoliczności powstania inteligencji polskiej jako odrębnej warstwy społecznej w czasie od połowy XVII do połowy XIX wieku.

TADEUSZ WITTLIN O TEATRZE AMERYKAŃSKIM mówił na wieczorze zorganizowanym przez Związek Pisarzy Polskich na Uchodźstwie w sali Instytutu Polskiego. Przewodniczył prof. W. Günther. W bardzo żywo ujętym „szkicu“ prelegent przedstawił „Teatr amerykański widziany od strony kulis“. Można było przy tym dowiedzieć się nie tylko, jakimi drogami sztuka dostaje się na sceny Broadwayu, ale również o tym, jak odmienne są stosunki teatralne za oceanem od tych jakie panują w Anglii lub Europie. Słuchacze dowie-

(Dokończenie na str. 32)

XXII ZJAZD SPK W W. BRYTANII

27 września obradował w Londynie XXII Zjazd SPK ogniwa brytyjskiego przy udziale 98 delegatów reprezentujących 83 koła. Obradom przewodniczył kol. inż. J. Żaba (Manchester). Z ramienia ustępujących władz sprawozdania z działalności w ubiegłej kadencji złożyli: kol. S. Soboniewski — prezes Zarządu, W. Quirini — przewodniczący Sądu Koleżeńkiego, kol. O. Marcinek — przewodniczący Komisji Rewizyjnej, kol. S. Kaczmarczyk — imieniem PCA Ltd., — udzielił informacji o sytuacji gospodarczej Stowarzyszenia.

W obszernej dyskusji na pierwszy plan wysunęły się zagadnienia. obchodu wielkich rocznic, cmentarzy wojennych, budowy Domu Polskiego w Londynie i przeznaczenia na ten cel przez władze SPK kwoty £ 50 tysięcy, usprawnienia metody ściągania składek członkowskich, pomocy kołom słabszym, form działania rejonów.

Zjazd udzielił absołutorium ustępującym władzom i dokonał wyboru nowego Zarządu w osobach: Kol. S. Soboniewski — prezes, J. Wawrzkiwicz i S. Brewka — wiceprezesa, T. Krasoń — sekretarz, M. Siewiński — skarbnik, Cz. Czaplinski, M. J. Tęgoborski, J. Raca i R. Zakrzewski — członkowie Zarządu.

Uchwalono budżet SPK W. Brytania na kadencję 1969/70 w kwocie £7.950.

Następnego dnia uczestnicy Zjazdu wzięli udział w akademii w Royal Al-

bert Hall, zorganizowanej ku upamiętnieniu wielkich rocznic polskiego czynu zbrojnego w drugiej wojnie światowej.

UCHWAŁY I REZOLUCJE ZJAZDU

1. W sprawie obchodów rocznic Walk.

Obchodzimy w tym roku rocznice walk Żołnierza Polskiego w drugiej wojnie światowej.

We wrześniu 1939 roku żołnierz polski stawił czoło agresji Hitlera, lecz w końcu musiał ulec połączonej przemocy Niemiec i Rosji.

Mimo klęski w Polsce, ani na chwilę nie ustała walka.

Nim jeszcze wygasły ostatnie ogniska bojów wrześniowych, już okręty naszej Marynarki Wojennej dumnie podniosły banderę w dalszych zmaganiach na morzach Zachodu, już zaczęła powstawać nowa Armia Polska i nowe Lotnictwo we Francji i W. Brytanii, by w 1940 roku wziąć udział w kampaniach we Francji, Norwegii i nad Anglią, a potem w Tobruku. W Kraju rosła Armia Podziemna, która w nieubłaganej walce z okupantem wzbijała się na szczyty męstwa i poświęcenia w Powstaniu Warszawskim. W końcowym okresie wojny wspaniałe boje 2 Korpusu, I Dywizji Pancerniej i Brygady Spadochronowej rozślawiły imię żołnierza polskiego po całym świecie.

Niestety wysiłki i ofiary Żołnierza Polskiego nie przywróciły Polsce wolności.

Nie były one jednak daremne. Stały się moralnym kapitałem Narodu. Są one dla nas i dla tych, co po nas przyjdą, moralnym testamentem Poległych Kolegów — nakazem trwania w walce o przyszłość Narodu.

Rozpamiętując dziś bohaterskie dzieje Oręża Polskiego w czasie 2-iej wojny światowej, składamy hołd pamięci Poległych Kolegów i łączymy się serdeczną myślą z tymi, którzy odnieśli rany i utracili zdrowie oraz z tymi, którzy utracili na wojnie swoich najbliższych.

Wierni narodowym ideałom, nie ustaniemy w walce o wolność.

2. W sprawie sytuacji w Kraju.

Zeszlóroczne manifestacje w polskich miastach uniwersyteckich były kolejnym świadectwem klęsk usiłowań pozy-

skania młodego pokolenia dla komunistycznej ideologii.

Dla stłumienia przejawów żyjącego w społeczeństwie pragnienia wolności, reżym zastosował pałki policyjne, procesy i więzienia przeciw studentom, rugi wśród profesorów wyższych uczelni oraz dyskryminację i podcięcie podstaw egzystencji w stosunku do czołowych przedstawicieli kultury. Atmosfera i warunki życia w Kraju pogorszyły się. Wybory do tzw. sejmu były jeszcze jedną parodią demokracji. Przepaść między społeczeństwem a reżymem pogłębiła się.

Przed kilkunastu laty na Polskę patrzono na Zachodzie z nadzieją na możliwość liberalizacji w ujarzmionej części Europy. Dziś rząd P.R.L. jest piętnowany jako najwierniejszy satelita Moskwy.

Służalność Gomułki ujawniła się jaszkrawie w użyciu Wojska Polskiego do tłumienia wolności Czechów i Słowaków.

My, polscy kombatanci potępiamy gwałt dokonany na narodzie czeskim i słowackim, zadany również prawdziwym uczuciom żołnierza i społeczeństwa polskiego.

Wierzmy, że wbrew wszelkim usiłowaniom rządzących Polską agentów Krem'a, siły narodu przetrwają w walce o wolność, aż do zwycięstwa.

Ponadto przyjęto wnioski w sprawach: oświaty i wychowania, połączenia kół oddziałowych i SPK w jedną organizację lub innej formy powiązania, reorganizacji Sądów Koleżeńskich i zmiany Regulaminu tychże, oraz finansowo-gospodarczych.

DZIEŃ POLSKI W ROYAL ALBERT HALL

W niedzielę, 28 września londyński Royal Albert Hall był widowiskiem wielkiej manifestacji polskiej zorganizowanej dla upamiętnienia rocznic naszego czynu zbrojnego w drugiej wojnie światowej. Wzięło w niej udział ok. 6 tysięcy osób. Uroczystość zaczęła się wprowadzeniem kilkudziesięciu sztandarów wojskowych, po czym krótkie przemówienie wygłosił gen. Władysław Anders, witalny owacyjnie przez zgromadzoną publiczność. Widowisko w przygotowaniu L. Kiełanowskiego było rodzajem żywej kroniki wypadków wojennych przy zastosowaniu elementów słowa mówionego, muzyki, śpiewu oraz obrazów filmowych. Udział w nim wzięło szereg artystów polskich z Londynu, na czele z Marią Arczyńską, Weroniką Bell, Renatą Bogdańską, Ireną Brzezińską, Heleną Kitajewicz, Władą Majewską, Barbarą Reńską. Narrację prowadzili: Danna Philipp, Edward Chudziński i Józef Opieński. Śpiewały połączone chóry

K J. Ostr.

Chopina i św. Andrzeja Boboli pod dyr. R. Nawrota. Stronę muzyczną reprezentowała Orkiestra Royal Air Force.

Obchód został przygotowany przez Komitet, na którego czele stał gen. Stanisław Kopański.

AFRYKA POŁUDNIOWA

WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK.

Na Walnym zebraniu Koła SPK zwołanym do Johannesburga 23 sierpnia br. wybrano nowy Zarząd, który ukonstytuował się następująco: S. Smolenc — prezes, A. Madejski — wiceprezes, S. Dutkiewicz — skardniczka i sekretarka, S. Szewczykowski — 2-gi sekretarz, E. Hatcher, A. Czernecki, W. Strzałkowski — członkowie Zarządu.

BRAZYLIA

WALNE ZEBRANIE KOŁA SPK W RIO

Na dorocznym walnym zebraniu SPK w Rio de Janeiro wybrano nowy Zarząd, w skład którego weszli: J. Pawełekiewicz — prezes, A. Kozłowski i W. Dzieciolowski — wiceprezesi, H. Kozankiewicz — sekretarz, E. Syrakis — skarbnik.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

Obchód Święta Żołnierza w tym roku ze względu na przypadającą 25-tą rocznicę Monte Cassino, I Dywizji Panczernej oraz Powstania Warszawskiego miał charakter szczególnie podniosły: uroczystości odbyły się pod protektorem gen. Adalberto Pereira członka honorowego SPK w Rio i z udziałem najwyższych władz wojskowych Brazylii.

Program obejmował złożenie wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza i akadmię z udziałem władz wojskowych, administracyjnych oraz społeczeństwa brazylijskiego.

Po akademii SPK podejmowało cocktailem ponad 200 osób. Obchód wywarł doskonałe wrażenie i przyczynił się do pokazania społeczeństwu brazylijskiemu wkładu polskiego do drugiej wojny światowej.

SZWAJCARIA

NAGRODA LITERACKA IMIENIA ANNY GODLEWSKIEJ

Doroczną nagrodę im. A. Godlewskiej w wysokości 2.500 fr. szwajcarskich przyznano Marianowi Hemarowi za całość twórczości pisarskiej.

Nagrodę tę otrzymują pisarze, autorzy przekładów literatury polskiej na języki obce, publicyści, dziennikarze i artyści.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

Tegoroczne Święto Żołnierza zorganizowano w Solurze. Mszę św. i kazanie wygłosił o. prof. I. M. Bocheński. W restauracji na wspólnym obiedzie licznie zebranych kombatantów i ich rodziny powitał prezes Koła kol B. Gmurezyk, który zorganizował całą uroczystość. Zebrani wysłuchali referatu o Powstaniu Warszawskim i obecnej okupacji sowieckiej póra red. H. Blumera. Z kolei prezes SPK w Szwajcarii dr J. Paszkowski i kol K. F. Vincenz mówili o udziale delegacji Polaków ze Szwajcarii w uroczystościach na Monte Cassino. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele Kościuszko Gesellschaft w osobach wiceprezydenta rady Ursa Diet-schi, skarbnika J.A. Wirtha i kustoszki muzeum Adele Tatarinoff-Eggen-schwiler.

STANY ZJEDNOCZONE

PARADA PUŁASKIEGO

Doroczna polonijna manifestacja jedności narodowej, znana pod nazwą PARADY PUŁASKIEGO, odbyła się w tym roku 5 października w Nowym Yorku z udziałem ponad 100 tysięcy uczestników pochodu oraz ok. 250.000 widzów. Na trybunie honorowej byli m.in.: przedstawiciel prez. Nixona wiceadm. J.M. Lee, generałowie, kongresmani, wysocy urzędnicy federalni, stamowi i miejscy, sędziowie i działacze polonijni.

Na czele oddziałów umundurowanych kroczyli członkowie polsko-amerykańskich weteranów, członkowie Stow. Weteranów Polskich w Ameryce z prezesem Janem Decem oraz członkowie Stow. Polskich Kombatantów pod przewodnictwem prezesa Stanisława Gierata. Dalej w kolejnym porządku szły liczne organizacje polonijne czterech wschodnich stanów Ameryki.

FRANCJA

UROCZYSTOŚĆ POD ŁUKIEM TRIUMFALNYM

W dniu 28. IX. 1969 odbyła się w Paryżu pod Łukiem Tryumfalnym uroczystość przekazania płomienia ze znicza na grobie Nieznanego Żołnierza — 3 cmentarzom żołnierskim w Stanach Zjednoczonych.

Trzy pochodnie zapalił wiceminister byłych Kombatantów. Pochodnie zostały przekazane przez 2 oficerów łącznikowych orderu Lafayette'a — francuskiego płk. J.L. Bonet-Maury, polskiego płk. S. Szewalskiego oraz sekretarza generalnego Związku b. Kombatantów

francuskich, delegacji Stanów Zjednoczonych reprezentowanych przez Attaché Wojskowego płk. J. Petrone, komandora Legionu Amerykańskiego na Francję i Komandora Związku Weteranów Armii Amerykańskiej.

Na uroczystości byli obecni niektórzy ambasadorowie oraz wyżsi attachés wojskowi NATO z wyjątkiem Niemców.

Kompania honorowa ze sztandarem Armii Francuskiej, kompania lotnictwa francuskiego i oddział marynarki wojennej oddawały honory.

Wśród lasu sztandarów były również sztandary b. weteranów i rezerwistów Armii Polskiej.

KU CZCI JEAN MOULIN

W dniu 28. 9. 1969 odbyła się w Salon en Provence uroczystość odsłonięcia Mémorial JEAN MOULIN, bohatera francuskiego ruchu oporu.

Odsłonięcia dokonał premier Chaban-Delmas. W uroczystości wzięło udział wiele tysięcy osób i dziesiątki pocztów sztandarowych. S. P. K. było reprezentowane na tej uroczystości przez kol. St. Domańskiego, b. sekretarza generalnego oraz przez delegację Koła SPK Marsylia wraz z pocztom sztandarowym.

NIEMCY

UROCZYSTOŚĆ 25-LECIA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO W HAMBURGU

Dnia 27. 9. 1969 r., w Klubie Polskim S.P.K. w Hamburgu, odbyła się uroczystość z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego.

Inicjatorami i wykonawcami uroczystości byli członkowie A.K. zamieszkujący w Hamburgu i okolicy.

W ramach uroczystości urządzona została „Wystawa Pamiątek i Oryginalnych zdjęć z Powstania Warszawskiego”.

O godzinie 18-ej dr J. Kaczmarczyk powitał przybyłych z terenu Hamburga Düsseldorfu i Hannoveru gości, dziękując organizatorom uroczystości i wszystkim którzy przyczynili się do urzędującej wystawy, za ich wysiłek i pracę, które umożliwiły urzędującej uroczystości w tak wspaniały sposób.

Następnie W. Broniów-Jorliński w krótkim referacie przedstawił zebrany sytuację historyczną przed i w czasie Powstania.

Po referacie minutą ciszy uczczono poległych w Powstaniu Warszawskim.

Następnego dnia w niedzielę 28. 9. 69, w kaplicy OO. Jezuitów o. St. Skudrzyk odprawił mszę św. w intencji poległych i żyjących b. członków A.K.

**CZTERODNIOWE UROCZYSTOŚCI
W AXEL W 25-LECIE WYZWOLENIA**

Gdy 25 lat temu 1. Dywizja Pancerna po uwolnieniu szeregu miast be'gijskich w pójscigu za Niemcami przekroczyła granicę zalanej Holandii; zdobyła Axel. Żołnierz polski witany był tam z radością i entuzjazmem. I tak już pozostało. Bo zaprawdę, nigdzie pamięć Polaków nie jest tak żywa jak w Axel, gdzie Holendrzy oddali nam swe serca, swe domy i swą przyjaźń.

**HONOROWE OBYWATELSTWO
DLA GEN. MACZKA**

25-lecie swego wyzwolenia miasto Axel obchodziło czterodniowymi uroczystościami i złożyło ponownie wzruszającą hołd Żołnierzowi Polskiemu, m.in. przez nadanie gen. Maczkowi honorowego obywatelstwa, a SPK w Holandii złotego medala miasta.

Uroczystości w odświętnie flagami, kwiatami, festonami i chorągiewkami udekorowanym Axel, rozpoczęły się w środę 17 września powitaniem gen. Maczka i kombatantów polskich z Holandii, Belgii, Francji i W. Brytanii w ratuszu przez burmistrza m. Axel p. M.K. van Dijke i prezesa T-wa „Axel-Polen“ p. D. J. Oggel'a będącego tam duszą wszelkich propolskich poczynañ.

Tutaj też nastąpił akt nadania gen. Maczkowi honorowego obywatelstwa m. Axel i wręczenia prezesowi SPK inż. J. Minkiewiczowi, złotego medalu m. Axel d'a Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Holandii. Drugi złoty medal m. Axel za wybitne zasługi w dziedzinie realizacji przyjaźni polsko-holenderskiej nadany został Towarzystwu „Axel-Polen“.

Gen. Maczek dziękując za nadane mu honorowe obywatelstwo powiedział, że „przyjmuje je nie dla siebie, ale dla żołnierzy, którzy krwią na nie zarobili“. Następnie red. B. Strenk odczytał list oswoobodziciela i honorowego obywatela m. Axel płk. dr Z. M. Szydłowskiego, a prezes SPK inż. J. Minkiewicz wygłosił krótkie przemówienie, po którym po polsku powitał gen. Maczka jako dowódcę zwycięskiej 1. Dywizji Pancernej i prezesa honorowego SPK w Holandii.

SKŁADANIE WIENCÓW

Po tym oficjalnym powitaniu udano się w pochodzie — na czele sztandary organizacji kombatantkich z Holandii, Belgii i Francji — na cmentarz miejski, gdzie pod pomnikiem przy nadzwyczaj starannie utrzymywanych grobach dwudziestu spoczywających tam żołnie-

rzy 1. Dywizji Pancernej, złożone zostały wieńce.

Po powrocie do ratusza, wyruszono w długim pochodzie, przy dźwiękach werblów pod pomnik polski, gdzie odbyła się oficjalna i wzruszająca uroczystość oddania hołdu poległym za wolność Holandii żołnierzom polskim. Wokół pomnika zebrała się literalnie cała ludność miasteczka. Po odegraniu przez orkiestrę chorału, wieńce pod pomnikiem złożyli: komisarz królowej (wojewoda) mr. J. van Aartsen, burmistrz p. M. K. van Dijke, gen. Maczek w asyście prezesa SPK inż. J. Minkiewicza i delegata dywizji pancernej p. J. Kowalskiego, w imieniu Związku 1. Dywizji Pancernej i kolonii b. wojskowych w Gandawie p. R. Łuczak, prezes kombatantów polskich w St. Niklaas p. K. Hlebowicz, prezes i sekretarz T-wa „Axel-Polen“ pp. D. J. Oggel i H.P. Zegers, oraz w im. Komitetu Obchodu pp. J. P. C. Roellands i K. van Drongelen.

Po złożeniu wieńców oficjalnych przez liczne jeszcze delegacje organizacji społecznych, zawodowych, politycznych, sportowych i innych, pod pomnik parami podchodziły dzieci szkolne, każde z bukietem kwiatów. A że dzieci było ponad tysiąc, więc przed pomnikiem powstał barwny dywan kwiecisty. Wzruszenie nie do opamięnienia ogarnęło wszystkich Polaków z generacjami Maczkim na czele.

Burmistrz zapalił następnie przed pomnikiem „Znicz Wolności“, po czym gen. Maczek podczas zaintonowania przez chór dziewcząt holenderskich „Jeszcze Polska nie zginęła“, zaciągnął na maszt polską flagę.

W dniach następnych odbyły się liczne imprezy: wystawy, zawody, koncerty, występy artystów, zabawy, pokaz polskich tańców ludowych w wykonaniu polsko-holenderskiego zespołu tanecznego „Polnia“ z Bredy, a w sobotę 20 września odbył się tradycyjny „marsz wyzwolenia“ zorganizowany przez związek sportowy „Emma“.

Przeprowadzona w Axel w ramach obchodu rocznicy wyzwolenia tradycyjna zbiórka na polskich inwalidów wojennych, której inicjatorem był przed laty red. B. Strenk, przyniosła w tym roku sumę 2.222 florenów.

Wspaniałe czterodniowe uroczystości zakończone zostały w sobotę pokazem ogni bengalskich, których finałem był błonący napis: „DANK AAN DE POLEN“.

B. S.

**Odnowienie prenumeraty na
czas to najlepsza pomoc dla
pisma!**

BEZ

— Jeżeli się nie ma obywatelstwa angielskiego, jest się skazanym na podróżowanie po świecie ze śmieszonym dokumentem opatrzonym klauzulą ważności na wszystkie kraje, prócz Polski. O patrz to jest ten „paszport“ tzw. „Travel Dokument“, a tu napisane czarne na białym „All countries except Poland“. To brzmi jak nieporozumienie, prawda?

Pochyliła głowę nad książeczką, oglądała pieczęcie, wizy, nic nie mówiła.

— Od wielu lat posługuję się takim zastępczym paszportem, za którym bez wizy mogę pojechać do N.R.F...

— Cóż za ironia losu — szepnęła.

...ale nie mogę się porwać na odwiedzenie własnego kraju. No, nie patrz tak na mnie! Nie jestem okazem przedpotopowym, są jeszcze na emigracji tysiące Polaków z takimi papierami. Nie narzekam na swój los, gdybym chciała mogłabym mieć łatwo obywatelstwo brytyjskie.

— A powiedz mi, czy nie tęsknisz czasem za krajem, powiedz prawdę, bez przekory.

— W tym układzie stosunków, żebym tam jak tęskniła za ojczystą niwą, jak długo jestem w opozycji do P.R.L-u, nie mogę marzyć o odwiedzeniu kraju. A jak już większość życia spędziłam zagranicą i nie uschłam z tęsknoty, to prawdopodobnie wytrzymam i tę resztę dzielącą mnie od wieczności, nie tylko nie usychając, lecz wręcz przybывая na wadze.

— Żyjesz więc w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości kraju.

— Niezupełnie, ale wiedzę o Polsce współczesnej, ludzie tacy jak ja nabywają z drugiej ręki, a więc przez osoby przyjeżdżające z Kraju do Londynu, jak ty...

— O przepraszam, nie porównuj mnie z osobami przyjeżdżającymi do Londynu, mnie się po prostu udało, przez usilne starania brata, poza tym, zostawiłam syna „na zastaw“ w Warszawie.

— Osoby, które odwiedziwszy kraj, wróciły do Londynu...

— Zachłyśnięte powietrzem, wspomnieniami młodości — uzupełniła mię...

PASZPORTU

OPOWIADANIE

...przez książki, wydawane w Kraju, pisane obrzydliwym, chamskim językiem, przez prasę operującą wyświechtanymi komunistycznymi frazesami. Znam więc tę polską rzeczywistość, jak widzisz. Znamy się wiele lat, to znaczy znałyśmy się dobrze dawno temu...

* * *

Przyjaźń z Patką zaczęła się wiele lat temu od okropnej awantury. Do dwuosobowego pokoju w Domu Studentek wprowadziłam się pierwsza i z ciekawością wyczekiwałam przyjazdu współlokatorki. Od studentek drugiego roku wiedziałam coś nieocho o niej i chociaż wszystkie ją uwielbiały nie trudno było odgadnąć, że jest to dziwadło. Już się zabierałam do spania, gdy nagle ktoś energicznie nacisnął klamkę — i w drzwiach, otoczone gromadą koleżanek stało stworzenie, które byśmy dzisiaj nazwali dziewczyną „beatnik“ w tym sensie w jakim by tak można nazwać św. Franciszka z Assyżu. W owych odległych przewojskich czasach, takie zaniedbanie młodego dziewczęcia było bardzo niemiłe widziane. Sandały na bosych nogach, włosy proste, nie bardzo równo obcięte, z niedomkniętej torebki zwisał różaniec. Miała na sobie kostium z ładnego leszczkowskiego materiału, ale niedoprasowany, bluzka jednym końcem wymknęła się spod paska spodnicy i nieporządnie zwisała pod narzuconym na jedno ramię żakietem.

— Serwus małpo. Jestem Kleopatra N., dla koleżanek i kolegów Patka.

— Serwus Klempo — odwzajemniłam się.

? ? ?

— Takie same dobre zdrobnienie od Kleopatry jak Patka.

Pół grzywki spadającej na oczy, poderwanej raptownym ruchem głowy w tył, wylądowało wysoko nad czołem, obrzucona krytycznym spojrzeniem usłyszałam:

— No, zobaczmy co z ciebie za ziółko. Na mój gust jesteś za delikatna, a jednak język masz jak straganiarka z Kleparowa.

Pierwsze dni życia z Patką w jednym pokoju były wprost niemożli-

we, dziewczyna nie miała poszanowania dla cudzej własności, bez pardonu więc wyciągała z mojej szafy rzeczy i pożyczala koleżankom nie mającym się w co ubrać. Miała zwyczaj zapraszania do swojego pokoju po kilkanaście koleżanek naraz i wysłuchiwała opowiadań o zawodach miłosnych, niepowodzeniach w studiach, problemach politycznych i materialnych. Szastała swoimi pieśniadzi tak, że ją przezywano „siostrzaną pomocą akademicką“, ale mimo zamożnych rodziców, często sama chodziła bez grosza i nieraz nie miała na obiad w „Bratniaku na Łozińcu“, choć było to menu skromne, kosztujące niecałe 50 groszy.

Po nocach nie sypiała z tych cudzych zmartwień, słyszałam do świtu obracanie się jej z boku na bok i szeptanie różańca.

Jakby nie dosyć tego, miałyśmy jeszcze w gospodarczym pokoju wspólną szafkę na prowianty. Co tylko wyścieliłam półki papierem, poukładałam porządnie zakupy, Patka przewracała wszystko do góry nogami, szukając gorączkowo czegoś odpowiedniego dla bezdomnego psa z kulawą nogą, kota, tego parszywego, co szuka odpadków na śmietniku albo jakiejś ludzkiej biedoty. Nie liczyła się z moją własnością, tak jak nie liczyła się zpełnie z moim zdaniem, a nawet osobą. Pewnego wieczora, poczułam się nad miarę pokrzywdzona, lekceważona, nie wchodząca w rachubę i zebrało mi się na awanturę.

— Nie czyść mi tego śledzia bezczekowego pod samym nosem — zawołałam napastliwie.

— Przecież ci go nie wtykam pod nos.

— Ale ja zapach czuję aż tu i psuje mi to aromat kawy, jak wiesz te dwa zapachy nie godzą się ze sobą!

— Ciekawam, co ja na to mam poradzić, przecież nie mogę go skrobać z łuski w powietrzu!

— Pójdzie ten śledź stąd czy nie pójdzie!

— Nie pójdzie — i dalej skrobała go, jakby nigdy nic.

— Ostrzegam, jak nie pójdzie to ja zrobię coś strasznego!

— Co?

Tymczasem koleżanki powyciągały szyje w naszą stronę, na niektórych twarzyczkach malowało się zadowolenie z nieporozumienia między współlokatorkami, wiedziałam jednak, że prawie wszystkie poza dwiema chyba tylko nowicjuszki w Domu Studentek są całym sercem po stronie ulubionej Patki.

Wzięłam śledzia dwoma palcami, delikatnie, trochę przesadzając obrzydzenie za ogon i w oczach koleżanek zapartym tchem śledzących moje ruchy niosłam specjał przez całą kuchnię ku wiaderku z pomyjami przeznaczonymi dla świnki stróża. Nagle rozległo się ciche chlup i śledź wślizgnął się w pomyje. Byłam równocześnie zachwycona i przerażona swoją odwagą. Po chlupnięciu spodziewałam się dochodzeń i wywalenia z Domu Studentek.

W kuchni zapanowała cisza, Patka spokojnie podkasała rękaw i zanurzyła rękę we wiadrze, przecież świni udławi się jeszcze...

— Świnia się udławi..., a ja mam znieść to pachnidło! — wyrzuciłam z siebie, bliska płaczu w poczuciu ogromnej krzywdy.

A tu niespodzianka, Patka rozwarła ramiona:

— Chodź, niech cię uściskam małpo, masz charakter!

Od tego incydentu zapanowała między nami prawdziwa przyjaźń, rzadka między kobietami, otwarta, wyzuta z cienia zazdrości, taka przyjaźń, że już można klócić się całymi dniami, kpić ze siebie, złościć się nawet, a wszystko przechodzi bez urazy.

Pamiętam, jak tuż przed drugą wojną, leżąc już w łózkach rozmawialiśmy nieraz analizując sytuację polityczną.

— Co by było gdybyśmy któregoś dnia obudziły się zagranicą?

? ? ?

Przypuścimy, że spotyka nas los Sudetów, przyłączają Lwów do innego kraju?

— Wyobrażasz sobie Polskę bez Lwowa?

— Dla mnie Polska to Lwów, Lwów to Polska!

Tych samych bodaj słów użyłam po ćwierćwieczu pobytu zagranicą, na pączkach u państwa Emigrantów Bogackich. Pewnie przez pomyłkę zostałam zaproszona do ich komfortowego mieszkania, na spotkanie z

„Krajem“. Państwo Bogaccy już od dawna mają obywatelstwo brytyjskie, do którego się niechętnie przyznają, bo im odpowiada rola emigrantów politycznych, to brzmi dystygowanie, firma zaś Import-Export — sugeruje tylko zwykłe dorobkiewiczostwo. Państwo Bogaccy wierzą uczciwie w swój patriotyzm, tak jak wierzą uczciwie, że wszystkie narody otaczające „nieszczęśliwie geograficznie położoną Polskę“ składają się z ludzi podłych, nieznośnych, oszustów, intrygantów, świń. Dyskusja pod tytułem 'spotkanie z krajem' była więc na tym mniej więcej poziomie, a po rześistym zakropleniu jarzębiakiem z Polski, nie wiadomo już było, kto emigrant zarobkowy, kto polityczny, kto Polak z kraju, kto prowokator, kto donosiciel. Panowie śpiewali „Hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały“, panie dzieliły się wiedzą o kosmetykach i strojach.

— Proszę koniecznie wypić z nami tego „jarzębiaczku“ z Polski.

— Nic z Polski nie chcę — palnęłam podniecona, whisky z lodem.

— A to ładnie! A gdzie patriotyzm?

— Przecież jestem w walce z P.R.L.'em — palnęłam.

— W walce? Pani żartuje, Polska jest jedna, Wy tu i My tam, to wszystko jeden wspaniały Naród Polski.

Ale pan Szyszka z Warszawy przerwał:

— Jestem za opozycją, ale jak strzelać, to nie z za krzaków, przyjechać, zobaczyć i dopiero krytykować.

Gospodarz domu wsunął między nas dyplomatycznie tacę pełną tych tak zwanych zamorskich frykasów.

— Pani ministrze, proszę spróbować (nigdy nie jemy, zawsze próbujemy albo zagryzamy) węgorza bałtyckiego.

Minister pochylił się nad tacą z zakąskami, uważnie badając, co na niej wyłożono, twarz miał skupioną i długo wahał się z powzięciem decyzji. Wreszcie zatrzymał się nad pomidorem nadziewanym krewetkami w majonezie.

— Wolę to, niż kawior — stwierdził.

Rozległy się rześiste brawa, jakby kawior był symbolem socjalistycznych republik.

— Czego on jest ministrem — zapytałam szeptem gospodarza.

— Niezupełnie jeszcze jest ministrem..., ale przez trzydzieści lat przeszło pracuje w ministerstwie...

? ? ?

... bo jeszcze przed wojną zaczął pracować w ministerstwie...!!!

Dobrze zakonserwowana pani po czterdziestce, w sukni „mini“ z dekoltem prawie do pępka, pochyliła się nad patefonem zakładając krajową płytę z piosenką znanej pieśniarki Ewy Denmarczyk.

— Jak ten brzydki polski język inaczej w jej ustach brzmi.

— Co za wspaniała, sugestywna dykcja!

Głosem mocnym jak dzwon, pieśniarka zapraszała na spotkanie do Tomaszowa.

Skończyła, a jeszcze powietrze wibrowało jej głosem.

— A może by tak obywatelka wybrała się do Tomaszowa — kusił mnie pan z ministerstwa sanacyjnego, obecnie na posadzie w ministerstwie komunistycznym.

— Ha, ha, ha! A właśnie nie mogę! — zawołałam z satysfakcją, że drażliwe tematy wypływają na powierzchnię — nie mogę, bo nie mam papierów w porządku! A po drugie nic mnie szczerze mówiąc, nie ciągnie do tego Tomaszowa. Jest mi zupełnie obcy. Moja Polska nie należy już do Polski. Nawet polskie groby zostały w niej stratomane. Najpierw przeniesiono Konopnicką do Wrocławia, teraz zagłada zupełna grozi grobom Orłąt.

Teraz całe towarzystwo zaczęło naraz mówić. Jedni mówili, że skandal, że niesmaczne w tym cmentarzem, inni, że przecież my i Ukraińcy musimy się pogodzić, inni jeszcze, że nie ma żadnego sensu dyskutować o tych rzeczach skoro Moskale trzymają wszystko w garści.

— Właśnie — powiedziałam — pan zapraszał mnie do Tomaszowa, a moja Polska jest za kordonem. Ciągnie mnie tylko do gór i Lwowa.

Elegancko ubrana pani z Polski, o dużych, świetlistych oczach (chyba w ciemności mogących zastąpić lampę) zapytała:

— Dlaczego Pani tak niechętnie do wszystkiego krajowego nastawiona?

— Też pytanie! Przecież ta cała komuna, to obca polskiej psychice

rzecz, a dostosowanie się do nowego porządku z musu czy oportunistycznie, chyba jeszcze gorsze niż szczerza wiara (wątpię czy taka istnieje) w komunizm.

— Jaki tam u nas komunizm — wtrącił się blondyn z bujną jeszcze czupryną — my się nie dajemy, przetrzymamy. Systemy rządowe, jak wiemy z historii, wiecznie nie trwają, rewolucje wygasają, dyktatury upadają, najważniejsze, żeby naród był w dechę...

O, właśnie, to „w dechę“, nawet język wasz schamiał, stało się z nim to samo, co z rosyjskim po rewolucji...

— No, no, przyganiał kocioł garnkowi — powiedziała żona blondyna, lekko obracając w kółko trzymany w rękę kieliszek i wpatrując się w jego dno, wy za to wtrącacie co drugie słowo po angielsku.

— Cóż mamy robić, cały dzień w pracy między Anglikami.

— A tak, właśnie, wy tylko liczyście pieniądze, robicie majątki...

— Trudno, nie mamy bogatej matki jak Słowacki i nie możemy sobie pozwolić na luksusowe tęsknienie na pasażerskich okrętach i pod cedrami. Nikt nic za darmo tu nie da.

— No, właśnie staliście się emigracją zarobkową...!!!

— Albo, lepiej jak to któryś z emigracyjnych pisarzy określił, paczkową. Ślemy wam co możemy, lekarstwa, pończochy, dywany, syntetyczne naczynia, towary kolonialne, kosmetyki... Aż zatkało mnie z wylizania, zrobiłam się zła, poczułam prawdziwą antypatię do tej żebrzącej Polski.

W tym momencie ta pani o świetlistych oczach, zamiast się na mnie bocyć, zaczęła się uśmiechać z wyraźną sympatią. Nagle uświadomiłam sobie, że ja tę twarz, a zwłaszcza oczy, widziałam kiedyś. Tak widziałam tę twarz, tylko młodą, okrągłą, uśmiechniętą.

— Patka! Patka? Taka elegancka!

— Nie poznałam ciebie ma!po! No, oczywiście, nie poznałam, bo teraz nie dbasz o siebie!

— A ty znów, no co za metamorfoza, taka jesteś wypielegnowana.

— Tempora mutantur et nos mutamus in illis...

— Naprawdę to nie wypada żebyś reprezentowała P.R.L., raczej pasujesz do „zgnięłego zachodu“.

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

POWIEDZIEĆ CZY ZATAIĆ?

Gdyśmy się tak zaczęły użerać ze sobą, nagle poczułyśmy się znów bliskimi sobie osobami. Sztuczna zapora Kraj — Emigracja runęła. Umówiliśmy się na spotkanie, żeby się na dobre rozgadać, wygadać.

Nie, nie wybrałyśmy żadnego z licznych emigracyjnych lokali, poszłyśmy do zapajęczynionej londyńskiej gospody „Dirty Dick's Inn“. Ten lokal natchnął Dickensa do napisania „Great Expectations“. Tu, długoletnia emigrantka i Polka po raz pierwszy oglądająca zagranicę, odgrzebywały przytłoczone dziwnymi wydarzeniami lata młodych nadziei. Patka była „obiecującą“ chemiczką, wzorem dla niej była Maria Skłodowska. Wojna zaskoczyła ją na wycieczce w górach, nim dojechała do domu, rodzice już byli ewakuowani, nim ich odnalazła ojciec został aresztowany, matka z resztą rodziny wywieziona. Patka też spędziła 8 lat w więzieniu. Kiedy wróciła do Polski koleżanki, które tymczasem pokoczyły studia, miały jej za złe, że sprościła, zaniedbała się, że w łachmanach z nieleczonymi zębami.

Bez zawiści wyliczała koleżanki, którym przez wojnę udało się przejść bez zadraśnień, broniła ich, gdy ja każdej przypinałam obelżywą nazwę.

— Jak to robisz, że jesteś teraz taką elegancką — powiedziały obrzucając ją pełnym podziwu spojrzeniem.

— Żyje mi się jako tako, a główną pomocą są paczki brata.

— Ha, przydaje się na coś ta Emigracja.

— Szczerze mówiąc, wy jesteście nam ogromnie potrzebni, jest to wielka pociecha mieć kogoś w wolnym świecie.

— Czy myślisz, że to ma jakieś polityczne znaczenie?

— Raczej wyobrażam sobie historyczne, Wielka Emigracja nie składała się z ludzi mogących żywcem stawać na cokołach, były wśród nich drobne intrzygi, spory, egoizmy. Ale patrz, zostali zapisani na kartach historii, jako ci co walczyli o wolność dla swego kraju.

— Odmawiasz nam jednak politycznego znaczenia.

— Nie przeceniam go. Ale wiem, że popieranie przez Emigrację protestów przeciw skrepowaniu wolności, dodaje otuchy, tak samo jak mówie-

Jedno z pierwszych pytań, jakie zadać sobie muszą rodzice dziecka zaadoptowanego przeważnie brzmi: „czy powinno ono dowiedzieć się kiedyś, że nie jest nasze własne?“. Instynktowną i uczuciową odpowiedzią wydaje się być „nie, nie powinno“. A jednak w świetle doświadczeń jest to przeważnie odpowiedź błędna. Dlaczego?

Czytając szereg wypowiedzi opracowanych przez lekarzy, psychologów i opiekunów społecznych, dochodzimy do ogólnego wniosku, że owo pozornie niewinne kłamstwo „jesteś naszym własnym dzieckiem“ może się odbić na przyszłości zaadoptowanego w sposób nieraz tragiczny. Każde dziecko w pewnym momencie rozwoju zaczyna przejawiać nienasyconą ciekawość dowiedzenia się o sobie samym w otaczającym świecie. A w tym naszym gęsto zaludnionym świecie coraz trudniej jest ukryć prawdę pochodzenia dziecka. Najważniejszym momentem dla zdrowego rozwoju przybranego syna lub córki jest dowiedzenie się prawdy od rodziców, a nie od sąsiadów, czy ze szkoły. Winni dowiedzieć się także o tym fakcie jak najwcześniej w dzieciństwie, kiedy uzyskana informacja zostanie przyjęta naturalnie, nie wzbudzając wątpliwości starszego dzieciństwa: „a więc moi własni rodzice nie chcieli

nie prawdy o rzeczywistości. Patrz, te wszystkie narody, które nie mają mas przedstawicieli w wolnym świecie, dawno zeszyły z areny politycznej. Kto dziś mówi o wolnej Gruzji, o prawie Kazachstanu czy Uzbekistanu do wolności?

Przez to spotkanie przypadkowe z przyjaciółką z lat młodości uświadomiłam sobie lepiej niż kiedykolwiek przedtem, rolę polskich mas emigracyjnych. Nie wolno nam lekomyślnie wyzbywać się tego statutu wolności słowa, a wszelkie niewygodny związane z „bezpieczeństwem“, są już drugorzędnej natury. Gdy mnie ktoś ze znajomych czy towarzyszy podróży zapyta co to znaczy „all countries except Poland“, mogę uczciwie wyjaśnić, iż to znaczy, że należę do grupy społeczeństwa będącego w opozycji do rządu mojego kraju, ale że ten rząd nie ma dwu izb, a wszelka opozycja grozi kryminałem, więc mieszkam za granicą.

Irena Hradyska

mnie? Porzucili, oddali“. Stany poważnych zaburzeń nerwowych jak lęków, wyobcowania z grona rówieśników, czy niechęci do nauki dają się zauważyć niezmiennie u tych adoptowanych dzieci, które o swym pochodzeniu dowiedziały się w okresie dojrzewania. Później jeszcze, na progu młodości, gdy chłopiec lub dziewczyna będą wstępować w związki małżeńskie — metryka ich i tak wykaże, iż nie są rodzynymi dziećmi swych rodziców. I tak więc wydaje się, że na bolesne pytanie „powiedzieć czy nie?“ lepiej jest zawsze dać odpowiedź prawdziwą.

W wielu krajach Europy istnieją prywatne oraz państwowe agencje adopcji, które, zawsze kontrolowane przez czynniki rządowe, dbają o dobro adoptowanego dziecka. Agencje takie, wydając dziecko adoptującej je rodzinie, po przeprowadzeniu bardzo szczegółowych badań — wraz z dokumentami adopcyjnymi wydają tak wiele szczegółów o prawdziwych rodzicach — ile ich mogą tylko zebrać. Rodzice natomiast dziecka, którzy oddają je do adopcji, nie otrzymują żadnych informacji o jego nowej rodzinie. A to dlatego, by w przyszłości jedynie od zainteresowanego dziecka zażądać czy zechce kiedyś odszukać swych rodziców z krwi, czy też nie. Z obszernego sprawozdania szkockiej opiekunki społecznej pani McWhinnie opatrzonego tytułem „Dziecko adoptowane i jego rozwój“ wynika jasno, iż większość adoptowanych nie ma najmniejszej ciekawości w wieku dojrzłym do poznania swych prawdziwych rodziców. A jeśli już nawet konfrontacja taką kiedyś następuje — uważać będą nadal rodziców przybranych — za własnych i ważniejszych. Określenie „powiedzieć prawdę“ w ogóle nie powinno istnieć w szczęśliwej rodzinie. Dziecko wzrastając w pełnej świadomości swej adopcji, odczuwa z czasem pewną dumę, iż zostało wybrane z rozmysłem i obdarzone miłością.

SZPITAL BEZ ŁEZ

Obraz smutnego dziecka, o zapałanej twarzy, znużonego i przestraszonego szpitalnym rygiem należy już w Ameryce do przeszłości. Eksperymenty przeprowadzane w Stanach Zjednoczonych nad małymi pacjentami warte są zanotowania. Od niedawna w wielu szpitalach stanowych sale dziecięce całkowicie zmieniły swój wygląd. Ściany wyklejone są wesołymi rysunkami, pęki kolorowych balonów do zabawy dla małych chorych stoją w ro-

gach sali, jak bukiety kwiatów... Ale to jeszcze nie wszystko. oto posilki nadjeżdżają na wózkach w formie lokomotywy i wagoników w rozmaitych barwach. Aparaty Rentgena pozakrywane są olbrzymimi tekturowymi postaciami ulubionych bohaterów dziecięcych książek i pisemek: Piotruś-Pan, czy Człowiek-Nietoperz, Donald Duck lub Królewna Śnieżka czynią zaciemnioną salę prześwietleń miejscem wielkiej przygody. Najważniejszą jednak inowacją amerykańskiego szpitalnictwa dziecięcego jest książeczka z Bostonu zatytułowana „Ciekawy Jurek idzie do szpitala“, którą posyła się dzieciom na szpitalnej liście przed ich przyjęciem. Przyszli pacjenci dowiedzą się z niej, że szpital wcale nie jest miejscem smutku i przerażenia, że dzieją się w nim ciekawe rzeczy, które — po przybyciu — dzieci będą mogły obejrzeć na własne oczy. Autor książeczki „o Jurku“ doktor Terry Brazelton uważa, że dziecko przygotowane na rozstanie się z rodzicami i niejako zachęcone do szpitalnej przygody nie tylko, że nie odczuje swego tam pobytu, jako krzywdy czy kary, ale będzie szybciej powracać do zdrowia.

Po Bostonie, który wyraźnie przoduje w terapii psychologicznej dla małych dzieci, idzie pewien szpital na Florydzie, który zniósł noszenie uniformów przez personel. Lekarze i pielęgniarki noszą zwyczajne cywilne ubrania — tak jak matki czy ojcowie. W szpitalu uniwersyteckim miasta Michigan dzieci starsze mają nawet własną szkołę, w której — w odpowiednich dla siebie klasach — mogą się dalej uczyć, nawet jeżeli unieruchomione są w łóżkach. Lekarze w Michigan uważają bowiem, iż niektórzy z ich pacjentów w wieku szkolnym, szczególnie dzieci ambitne cierpią nie tyle z osamotnienia, co z tej przyczyny, że choroba pozostawia ich w tyle za zdrowymi kolegami w szkole. W San Diego, w Kalifornii natomiast, każda nie-nagła operacja małego pacjenta jest poprzedzana balem dziecięcym dla całego oddziału, skąd po otrzymaniu małego prezentu całe mogące chodzić towarzystwo idzie na „przebieg sali operacyjnej. Najważniejszym jednak zagadnieniem dla amerykańskich pediatrów jest to, czy matka winna pozostawać w szpitalu wraz z chorym dzieckiem. W Bostonie i Indianapolis władze są zdania, że nic nie zastąpi matczynego ciepła i opieki, a nawet jej czasem historycznych łez. Dopuszczają więc matki do przebywania ze swymi pociechami. Ma to jeszcze i tę dobrą stronę, iż matka odciąża przepracowany personel szpitalny, a jej utrzymanie napewno kosztuje mniej od utrzymania — plus pensji dodatkowej

pielęgniarki. W eksperymentalnym szpitalu bostońskim, prócz ułatwień noclegowych dla matek, zbudowano także dla nich specjalny pokój, gdzie wraz z innymi matkami mogą odpocząć, napić się kawy i porozmawiać na temat swych chorych dzieci.

ŁUDZIE POTRZEBUJĄ POMOCY

Szwajcarzy, jak powiadają, są podobno najlepszymi finansistami świata. Dowiodła tego raz jeszcze niejaka Yvonne Trub z Losanny, która zrobiła fortunę na bardzo prostej idei. Oto pewnego dnia pewien dyrektor losańskiego banku poskarżył się przed nią na to, iż turyści w tym mieście bardzo często zwracają się do obsługujących ich urzędników bankowych ze sprawami nie mającymi nic wspólnego z ich zajęciem. Turyści bowiem pytali, gdzie najlepiej jest zamieszkać, jaki lekarz jest najlepszy, gdzie znaleźć można tanią szkołę dla delikatnego dziecka itd. Pani Trub od razu przyszło na myśl, aby założyć agencję, która by zajmowała się dosłownie wszystkimi problemami turystów. Oczywiście, miała ona dobre podstawy do stania się — jak ją potem nazwano „wszechwiedzącą szwajcarską ciotką“, gdyż władza płynnie sześcioma językami.

Dzień pani Trub w jej agencji zaczyna się nieraz o 5 rano, a często kończy się dobrze po północy. Maksymą jej biura jest: „nie ma spraw niemożliwych do załatwienia“. I tak więc Yvonne Trub jednego dnia odwozi o świcie samotnego staruszka do słynnego „odmładzającego“ zakładu prof. Niehansa, w południe „odbiera“ na stacji dzieci w wieku szkolnym, aby je wieczorem odstawić na miejsce przeznaczenia. Pomędzy tymi, lub im podobnymi zajęciami opiekuje się studentem, który złamał nogę na nartach, wynajmuje szale dla holenderskiej rodziny i wysyła odpowiednią ilość skarpetek, któremuś ze swych niezaradnych klientów. W przeciągu dwóch lat od chwili założenia swej uniwersalnej agencji sława panny Trubb rozniosła się po Europie, nie tylko dlatego, iż można jej wszystko powierzyć, lecz także i dlatego, iż przedsiębiorcza Yvonne bierze stosunkowo niewiele za swoje usługi. Pozatem gros jej klienteli to samotne kobiety, które w panie Trubb znajdują towarzyszkę na wystawę malarską czy koncert, doradczynię w sklepach i opiekunkę w nagłym ataku migreny. Na drugim miejscu wiernych wyznawców agencji stoją ludzie bardzo wiekowi, którymi Yvonne Trubb zajmie się nawet w ich tranzyście przez Szwajcarię, zmieni na dworcu pieniądze i poda przez okno własnoręcznie upieczoną kurę na dalszą drogę. Reszta klienteli — to malarze w poszu-

kiwaniu zimowych plen-airów, zbieracze znaczków, czy młode dziewczęta brytyjskie i inne w poszukiwaniu zajęcia w szwajcarskich domach. „Pieniądze naprawdę leżą na ulicy — mówi Yvonne Trubb — aby je podnieść trzeba dwóch rzeczy: szczerego zainteresowania problemami drugich i — braku chciwości“.

POPULARNOŚĆ MISIA

Chyba każdy z nas w jakimś okresie dzieciństwa posiadał pluszowego niedźwiadka ze szklanymi oczkami. Mniej więcej 70 lat temu stał się on królem dzieciennego pokoju i serca i dalej króluje jako najmilsza zabawka milusińskich. Niedźwiadek bowiem wzbudza zaufanie. Jest miękki, przytulny i można się w niego wypiąkać. Można się na niego pogniewać i rzucić w kąt, a nie stłucze się. Jednym słowem uniwersalny przyjaciel. Ale — ostatnio do pluszowego misia zabrali się psychoanalizyści. Został przeniesiony z dzieciennego pokoju na kanapkę lekarza i dokładnie „psychoanalizowany“. I cóż się okazało? Ponad 40% sprzedawanych niedźwiadzi znajduje właścicieli nie w dzieciach, ale w dorosłych. Są między nimi takie słynne niedźwiadki, jak ten, alpinisty Bonattiego, który uwiązany do wiatrówki swego pana zdobywał z nim razem północną ścianę Matterhornu. Drugi niedźwiadek, zaiste królewski — podróżuje po całym świecie z władcą Siamu. Polscy lotnicy bardzo często chwalili sobie pluszowe misie w czasie wojny, jako niezawodne maskotki dla swych bojowych samolotów, a słynny sportowiec Donald Campbell nie rozstawał się nigdy ze swoim niedźwidziem i podobno zapomniał go tylko raz — w dniu swej tragicznej śmierci na motorowej łodzi. Psychoanalizyści tłumaczą popularność misia tym, że jest on zazwyczaj pierwszą zabawką dzieciństwa, a więc okresu ufności. Potem ten symbol ciepła i przynależności zmienia się w przedmiot przynoszący szczęście. Jeżeli więc gdzieś głęboko w szafie trzymamy naszego własnego niedźwiadka z dawnych, dobrych czasów, nie wstydzmy się go i przywróćmy na światło dzienne, gdyż nasze do niego przywiązanie prawdopodobnie oznacza, iż jesteśmy nadal ufnymi w dobry los, tak jak niegdyś — w czasie najpierwszej młodości.

W KSIĘGARNI SPK

KUPISZ KAŻDĄ

KSIĄŻKĘ!

Błogosławieństwa uspołecznienia

PEWNEGO DNIA żona, powróciwszy rano z łazienki, przybrała odpowiednio tragiczną pozę, jaką przybiera zawsze, kiedy uważa, że problem należy do tzw. „spraw męskich“ i powinien być rozwiązany przeze mnie, i powiedziała tragicznym szeptem:

— Kapie.

— Co kapie? — zapytałem pogodnie, nie zdając sobie jeszcze sprawy z powagi sytuacji.

— Woda.

— Tego można się było domyślić — odparłem z lekką ironią. — Ale skąd?

Spojrzała na mnie wzrokiem, pełnym niemego wyrzutu, jak gdyby ponosił za to wyłączną odpowiedzialność.

— Kapie z piecyka gazowego w łazience.

— Bardzo? — zapytałem z niepokojem.

— Średnio. Naleciało ze trzy czwarte tego naczynka, które wisi pod piecykiem.

Po śniadaniu udałem się aby sprawdzić rozmiary katastrofy. Spojrzawszy na zegarek, wylałem wodę z naczynka i po powrocie do jadalnego, powiedziałem do żony:

— Zobaczymy, jak szybko kapie.

Moje naajgorsze przeczecucia sprawdziły się: następnego dnia rano naczynko było pełne. Wobec tego zadzwoniłem do gazowni i wezwałem specjalistę od piecyków. Po trzech dniach przyszedł bardzo sympatyczny starszy pan, rzucił okiem na piecyk i powiedział:

— Co takiego? — zapytałem, nie wierząc własnym uszom.

— Szelc, panie szanowny — potwierdził spec. — Starożytny model, z epoki egipskiej. Nie mamy części zamiennych. Musi pan zainstalować nowy piecyk. Albo — dodał po krótkim namyśle — musi pan ciągle wylewać wodę z tego naczynia. Ostatecznie — dodał w formie pocieszenia — ludzie tak robią, gdy znajdują się w tonącej łodzi.

Ja byłem za wylewaniem wody — ostatecznie, wysiłek nie duży, a trochę ruchu nikomu nie zaszkodzi. Ale żona zaprotestowała gwałtownie:

— Wiem już, jak to będzie. Najpierw wylejesz raz na dzień, potem dwa, a w końcu będziesz musiał latać do łazienki co godzina. Potem w ogóle zostaniesz bez kąpieli, a na założenie nowego piecyka będziemy musieli czekać Bóg wie jak długo!

Prorocze słowa! Po długich dyskusjach uległem i zażądałem, aby gazownia przysłała przedstawiciela, który zbada rzecz na miejscu i poczyni odpowiednio sugestie co do nowego piecyka.

Po dziesięciu dniach zjawił się inny sympatyczny starszy pan. Pomierzył łazienkę, krytycznie spojrzął na okienko nad umywalką przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wylot rury w suficie, wreszcie zawyrokował:

— Ma pan do wyboru albo mały piecyk, tylko na łazienkę, albo duży na trzy punkty. Jeden do wanny, jeden do umywalki, a trzeci — gdzie pan chce. Na przykład do kuchni.

Żona ucieszyła się szalenie.

— Do kuchni? Nareszcie będę miała gorącą wodę w kuchni!

— Tylko, że — ciągnął rzecznik gazowni — łazienka pana jest za mała na duży piecyk. Metraż nie odpowiedni — wyjaśnił.

Oburzyłem się.

— A liczył pan ten metraż za przeprowadzenie, gdzie jest zbiornik na wodę?

Skrzywił się.

— No, z tym to może obleci. Ale — tu spojrzął na sufit. — Będzie trzeba zrobić nowy wylot na rurę kominową. I będzie pan musiał przesunąć te rury od wody z tej ściany.

— Dlaczego? — oburzyłem się. — Co się panu nie podoba w tym wylocie kominowym? Koniecznie mi pan chce wierceć drugą dziurę w dachu?

Spojrzał na mnie z politowaniem.

— Pański obecny piecyk jest okrągły, prawda? A teraz się już nie robi okrągłych piecyków. Niemodne. Teraz wszystkie są płaskie. Więc trzeba go będzie przesunąć na tamtą ścianę, a wtedy potrzebny nowy wylot kominowy.

— A przynajmniej te nowe piecyki są chociaż lepsze? — spytałem z nadzieją w sercu.

Wzruszył ramionami.

— Gdzie tam. Sam mam taki i ciągle się psuje. Ale okrągłych już od lat nie robią.

Żona trąciła mnie w bok.

— Nie upieraj się, jak nie robią, to nie robią.

Uległem.

— Niech pan zrobi kosztorys na założenie nowego piecyka, takiego na trzy kranie — powiedziałem stanowczo.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

— Myśli pan? To będzie pana drogo kosztować.

Zdenerwowałem się.

— Kto jest klient: ja czy pan? Zamawiam taki duży piecyk, rozumie pan? Uśmiechnął się pobłaźliwie, jak do dziecka.

— Jak pan uważa. Ale, ale, jeszcze jedno — nad umywalką, na wysokości okna, musi pan przeciągnąć beleczkę —

trzy cale na trzy, żeby było gdzie założyć ten kran na ciepłą wodę.

— Jak to zrobię, to nie będę mógł otworzyć okna! — wykrzyknąłem.

Wzruszył ramionami.

— Nie moja sprawa. Chce pan kranu na ciepłą wodę do umywalki — niech pan przekłada zawiasy na odwrotną stronę.

Po tych słowach poszedł. A ja zabrałem się do przygotowań. Wezwałem naszego stałego ślusarza, który za kilka funtów przesunął rury o metr niżej. Następnie własnoręcznie przybiłem w poprzek okna beleczkę.

— Nie jest jeszcze tak źle — pocieszała mnie żona. — Ostatecznie okno daje się troszkę uchylić.

Minęły trzy tygodnie. Zatelefonowałem do gazowni, domagając się obecnego kosztorysu. W tydzień później żądany dokument nadszedł. Cena samego piecyka była mi znana, bo oglądałem go już na wystawie gazowni, ale po przeczytaniu cyfr, odnoszących się do instalacji, oko mi zbiegło. Instalacja kosztować miała równo tyle samo, co piecyk!

— Trudno — powiedziała stanowczo żona. — Niech kosztuje ile chce. Nie możemy latać do łazienki co pół godziny, żeby opróżniać to naczynko. A poza tym wiesz, z kim masz do czynienia: przedsiębiorstwo państwowe, nie byle rekin prywatny, któremu tylko chodzi o zysk.

Nawiasem mówiąc, nasz stary piecyk, zagrożony wymianą, jak gdyby się poprawił. Ale żona nie chciała słyszeć o daniu mu dalszej szansy. Podpisałem zgodę na kosztorys i odesłałem do gazowni. Minęło dalsze osiem tygodni. Na koniec pewnego dnia wieczorem zjawiło się dwóch ludzi.

— My z gazowni — oświadczyli. — Mamy założyć u pana w łazience wentylator.

— Wentylator? — zdumiałem się.

— Zgodnie z przepisami, przy tego typu piecyku musi pan mieć odpowiedni wentylator w łazience.

Wpuściłem ich do łazienki. Po pół godzinie wyszli i bez słowa opuścili nasz dom. Pognałem do łazienki. W oknie, fachowo wprawiona w szkló, była plastikowa obsadka z kratką, przez którą ciągnęło z zewnątrz świeże, ale bardzo zimne powietrze. Nadaremnie szukałem klapki, którą można by zamknąć wentylator na okres, gdy się nie używa piecyka. Jak burza zbiegłem na dół. Dogałem praiowników gazowni, gdy już wsiadali do samochodu.

— No, a zamknięcie wentylatora? — wykrztusiłem.

Popatrzyli na mnie, jak na wariata.

— Zgodnie z przepisami przy tego typu piecyku wentylator musi być stale otwarty — odpowiedział starszy z nich.

To samo odpowiedział na moje listowne zapytanie kierownik lokalnego oddziału gazowni. Naturalnie, natychmiast wykrajałem klapkę z tektury i przy pomocy taśmy klejącej zamknąłem wentylator. Nie wygląda to ładnie, ale spełnia zadanie.

Po dwóch następnych telefonach i upływie dalszych dwóch tygodni przybyła na koniec dwuosobowa ekipa z piecykiem.

— No, nareszcie będziecie zakładać — wykrzyknąłem z ulgą.

— Zakładać? — zdziwił się jeden z nich. — My tylko dostawiamy towar. Zakładać będą inni.

— Kiedy?

— Jutro — pocieszył mnie.

Nie uwierzyłem — i miałem rację. Kiedy jednak następnego dnia nikt się nie zjawił — zadzwoniłem ze skargą. Pani o bardzo sympatycznym głosie wysłuchała mnie ze współczuciem i poszła sprawdzić. Potem zawiadomiła mnie, że piecyk założony będzie jutro. Muszę przyznać, że mnie przekonała — zwykle ulegam argumentom kobiet — ale spotkał mnie kompletny zawód. Następnego dnia nie zjawił się nikt. Zaciąłem się i oświadczyłem żonie, że nie będę już dzwonił, ani pisał, zwłaszcza, że stary piecyk jakós funkcjonował w dalszym ciągu i nie ciekł gorzej, niż poprzednio.

W trzy tygodnie po zapowiedzianym terminie zjawiło się dwóch, raczej sennie wyglądających pracowników gazowni, którzy przez cały dzień stukali i hałasowali w łazience. Wreszcie zaprosili mnie, abym podpisał dokument, stwierdzający, że piecyk zainstalowany został ku memu zadowoleniu. Trochę byli dotknięci, gdy oświadczyłem, że chcę najpierw obejrzeć ich dzieło. Z niemałym zdziwieniem przekonałem się, że piecyk wisi na tej samej ścianie, co poprzednio, i że rura kominowa piecyka, wdzięcznie wygięta, znajduje ujście w dawnej dziurze w dachu.

— Wasz przedstawiciel powiedział, że piecyk się nie zmieści na tej ścianie, i że będziecie musieli wycinać nowy otwór w suficie — stwierdziłem.

Wzruszyli ramionami.

— Co on tam wie — zakonkludowali lapidarnie.

Zademonstrowali mi jeszcze, że nowy piecyk działa, po czym zostawili w moim frontowym ogródku stary piecyk i nieużyte materiały w postaci kilku rur i kominów.

— W ciągu kilku dni przyjdą do was i zabiorą to wszystko — pocieszyli mnie.

Następnego dnia rano żona wpadła do pokoju, jak burza.

— Piecyk się nie pali — wykrzyknęła.

Popędziłem do łazienki. Piecyk zapalił się natychmiast.

Popatrzyłem pogardliwie na żonę.

— Głupiego piecyka nie potrafisz zapalić — powiedziałem lekceważąco.

Okazało się jednak, że miała rację, bo następnego dnia rano, gdy pierwszy zjawiłem się w łazience, piecyk również nie zapalił się za pierwszym razem. Po kilku dniach okazało się, że po przerwie nocnej piecyk zapala się zawsze dopiero za drugą próbą uruchomienia go. Oburzyło mnie to do głębi i napisałem do gazowni, odmawiając zapłacenia rachunku za piecyk, dopóki nie będzie działał sprawnie. Po tygodniu przyszedł miły, starszy pan. Rzucił tylko okiem a piecyk i wyjaśnił:

— Ponieważ na noc wylacza pan nawet pojedynczy palnik rozpałkowy, piecyk jest chłodny i rano trzeba go zawsze zapalać dwa razy. To normalne.

— Dlaczego nie zostawiacie jakichś instrukcji, które by klientowi wyjaśniły? — zapytałem.

Milcząc, wzruszył ramionami. Mój stary piecyk i rury, pozostawione przez obsługę gazowni, do dziś zdobią mój frontowy ogródek. Żona namawia mnie, aby je oddać jednemu z ludzi, którzy zbierają stare żelastwo, ale ja się nie zgadzam.

— Ostatecznie potrąci mi z rachun-

ku trzy funty za stary piecyk, nie? Może za rok go odbiorą?

Z nowego piecyka jesteśmy bardzo zadowoleni. Tylko czasami w nocy żona budzi mnie tarmoszącą za ramię:

— Co ci jest, Franek? — pyta. — Krzyczałeś przez sen.

Zlany zimnym potem, siadam na łóżku i odpowiadam:

— Śniło mi się, że socjalistyczny rząd upaństwowił cały przemysł i handel w W. Brytanii!!!

Książki nadesłane

Józef Smoleński i Marian Żebrowski redaktorzy opracowania zbiorowego, **KSIĘGA DZIEJÓW 7 PUŁKU ULANÓW LUBELSKICH im. GEN. KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO**, Londyn, nakł. Koła Żołnierzy 7. Pułku Ułanów Lubelskich w 50-tą rocznicę powstania Pułku, stron 654.

Czesław Miłosz, **WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO**, zbiór esejów, Instytut Literacki, Paryż, 1969, stron 172.

Czesław Miłosz, **MIASTO BEZ IMIENIA**, poezje, Instytut Literacki, Paryż, 1968, stron 70.

Eugeniusz Żytomirski, **ODEBRANO MI POLSKĘ**, poezje, Stowarzyszenie Polskiej Kultury w Austrii, Wiedeń, 1969, stron 16.

Wg. Eryki Gsker, **PIOTRUŚ I UR-SZULA**, przygody dzieci w drodze do Jezusa, nakł. Zgromadzenia Księży Marianów, Londyn, 1969.

Zdzisław Przygoda, **W SŁUŻBIE POLONII KANADYJSKIEJ**, 1964-1969, artykuły, listy, odczyty, Toronto, Ontario, Kanada, 1969, stron 147.

Adam Ciołkosz, **MOSKALOFILSKIE POJMOWANIE DZIEJÓW**, odbitka z „Polemik“, rok VI., zeszyt IX., Londyn, 1969, stron 52.

Jarosław Żaba, **SPOTKANIE Z MŁODYMI**, odbitka z „Orla Białego“, czerwiec 1969, nr. 59/1206, nakł. Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Biuro Studiów, Londyn, 1969, stron 12.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. **Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na:** 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). **Adres ADMINISTRACJI:** „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. **Oddział Redakcji we FRANCJI:** „Syrena“ — 20 rue Legendre, 75-Paris, 17-e. Tel. 924 0045, C/C/P/ Ass. E.A.C.P. en France, 6365-22 Centre Paris oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. **ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH.** Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. **PRENUMERATA** — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

Niechaj wolno mi będzie dodać od siebie: był naszym, polskim niedźwiedziem.

Krystyna Sosabowska

Edynburg.

DWA RAZY W JEDNYM NUMERZE

Szanowny Panie Redaktorze,

„Orzeł Biały“ nie przelatuje, niestety, oceanu na swych białych skrzydłach. Dochodzi, jak i wszelka inna prasa londyńska, z olbrzymim opóźnieniem. Gdy raz jednak dojdzie — dla banitów z ziemi europejskiej nastaje dzień radości.

Ostatni numer „Orla“ (62) jest chyba jednym z najlepszych numerów jakie czytałem. Jest to numer żywy, urozmaicony, obejmujący zainteresowania każdego.

Najszczerza podzięką należy się Redaktorowi pisma za znakomity wprost esej Jana Tokarskiego „Toynbee i jego dzieło“. Dawno nie spotkałem się z taką jasnością myśli, precyzją analizy i wspaniałym polskim językiem. „Bóg jest w swoim niebie“ Fryderyka Goldschlaga zapoznaje nas z faktami, o których przeciętny intelektualista mało wie. Głabisz — jak zawsze — nieublaganie logiczny, a pióro Miny Tomkiewicz, po jej znakomitym reportażu „Tam także się żyło“ nabiera obecnie ostrości dziennikarki politycznej. Nie wiem kim jest Wojciech Płazak. Ten nowy nabytek wszakże wart jest hodowania przez Redakcję „Orla“. Wojciech Stefański, jak zwykle, wprowadza na kartki „Orla“ satyrę bez żółci — jakże rzadki objaw w naszej emigranckiej rzeczywistości!

Jako doświadczony weteran dziennikarski nam tylko jedno zastrzeżenie: dlaczego Redakcja „Orla“ umieściła w jednym numerze dwa artykuły tej samej osoby? Byłoby lepiej dla p. J. Biernackiej i tego co pisze, aby jej dwie prace ukazywały się w kolejnych numerach „Orla“ a nie obie naraz. Jest to jedyne „zastrzeżenie“ dosłownie w cudzysłowie, jakie mam przeciw wrześniowemu wydaniu pisma.

Z wyrazami prawdziwego poważania

Zbigniew Grabowski

Agincourt, Canada.

BORUTA I KONTUSZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Boże mój! Co za „przejęzyczenie“! Co za „wpadunek“, które Silwa w „Wiadomościach“ wyśmiewa. Oczywiście, że p. Piotrowski ma zupełną rację. Mój „Boruta“ („Orzeł Biały“ — czerwiec) powinien być „dobyć karabeli i odwinąć wyloty kontusza“. Że tego nie zrobił, to wina mego roztargnienia i braku korekty.

Moi przodkowie w żupanach i kontuszach podzieliliby oburzenie p. Korwina Piotrowskiego, gdyby mogli zejść z portretów, na które patrzyłam tyle lat aż do czasu, kiedy je gruzy powstania warszawskiego zasypały.

Janina Surynowa-Wyczółkowska

San Juan, Argentyna.

DE MORTUIS AUT... MALE AUT NIHIL

Szanowny Panie Redaktorze,

Po śmierci Witolda Gombrowicza jedno z naszych pism postanowiło uczcić jego pamięć w formie ankiety, kierując ją „do tych współpracowników, o których wiedzieliśmy, że interesowała ich żywo twórczość zmarłego pisarza“.

Nadeszło szereg wypowiedzi, przeważnie bardzo ciekawych, napisanych z umiarem, ze znajomością przedmiotu i w tonie dostosowanym do okoliczności. Znalazł się jednak głos odmienny, Józefa Mackiewicza. Oto kilka wyjątków:

„...Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania. Zastosował więc chwyt, jakiego używają malarze, którzy nie umieją malować i nie mają nic do namalowania: ukrycie treści, a raczej jej braku, pod niezrozumiałą dla otoczenia formą... Rzecz oczywista, że nie każdemu taki trik się udaje, lub udać może. Pomijając zakulisowe okoliczności, o których tu mówić nie będę, wymaga swoistego talentu. I talent w tym kie-

runku należy Gombrowiczowi niewątpliwie przyznać... Rodacy cieszą się, naturalnie, z międzynarodowej sławy uzyskanej przez rodaka. Jest to poniekąd obowiązkiem patriotycznym, zgodnym w tym wypadku z wrodzonym snobizmem. Stąd wielu pisarzy na emigracji wysilało się, aby „odgadnąć“ Gombrowicza i odpowiednio go zinterpretować. Przeważnie udało się im to znakomicie, gdyż interpretacja nie istniejącej pod zewnętrzną formą treści daje najszersze pole do rozwinięcia dowolnej, własnej inwencji i własnego talentu pisarskiego. Sądzę, że te liczne pochlebne recenzje o Gombrowiczu to najcenniejsza po nim spuścizna“.

Nie jestem zdania, że śmierć pisarza, którego dzieło pozostaje, musi być pokwitowana wyłącznie laurkami i patosem, ale co innego obiektywna wypowiedź a co innego filipika dławionego zawiścią konkurenta, któremu nie udało się uzyskać rozgłosu kolegi po piórze.

Z poważaniem J. Korczyński Londyn.

JÓZEFA MĘKARSKA WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ

Przewodnik serdeczny po Wileńszczyźnie, Polesiu, Wołyniu, Podolu, Podkarpaciu. — Cena 16/6, dol. 2.50, F. 15.00.

Do nabycia: w Księgarni SPK — 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

K R Z Y Ż Ó W K A N R 120/69

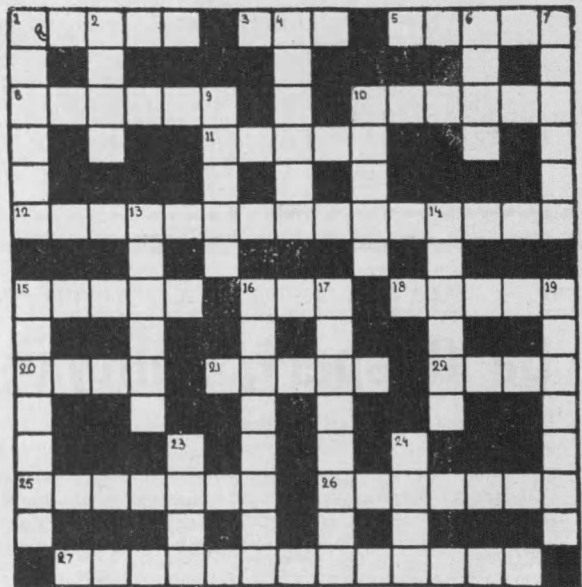
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) namiętność; 3) i 16) złoty najcenniejszy; 5) pismo dla wybranych?; 8) przegrał walkę z małym; 10) filozof rzymski; 11) pora skowronków?; 12) pierwsza pod koniec XI wieku (dwa słowa); 15) i 18) kosztowna polska zaleta?; 20) cham; 21) ośmieszają i śmiesz (wspak); 22) nimfa leśna, która na wszystko odpowiada; 25) składnik, żywiol; 26) miejsce soboru; 27) poznasz księcia po zaróście (dwa słowa).

Pionowe: 1) płonie i pachnie żywicą; 2) i 6) postać z Don Kichota; 4) przechodzi przez Ekwador i Brazylię; 7) dowody materialne; 9) źle, gdy cię na nią wyrzuca; 10) obniża wartość; 13) powinien być bez 19) pionowo; 14) występował z sierpem; 15) ziółko na dwóch nogach; 16) opływasz w całym lub pływasz na części?; 17) przetrwa przezora; 19) nie każdy ją osiąga (wspak); 23) powiedziec (wspak); 24) musztra (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 119/69

Poziome: 1) i 5) Prometeusz, 3) i 16) pomysł, 8) reszta, 10) Karaim, 11) biegi, 12) sen mara Bóg wiara, 15) i 18) Szczer-



biec, 20) Eryk, 21) żmija (wspak), 22) izby (wspak), 25) kłótnia, 26) obierki (wspak), 27) mysz kościelna.

Pionowe: 1) Parnas, 2) i 6) odstukać, 4) bielmo (wspak), 7) zemsta, 9) śruba (wspak), 10) Kinga, 13) muzyka, 14) imbryk, 15) steczka, 16) okazyjny (wspak), 17) łamaniec, 19) chichot, 23) zona (wspak), 24) Ebro (wspak).

KALENDARZYK KOMBATANTA

NA ROK 1970

NIEODZOWNY INFORMATOR DLA KAŻDEGO

CENA: 7/6

Nowa książka do nabycia w Księgarni SPK

„W SŁUŻBIE POLONII KANADYJSKIEJ“

ARTYKUŁY, PRZEMÓWIENIA, ODCZYTY, ODEZWY

Autor: Dr. ZDZISŁAW PRZYGODA

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

i
GRYF PUBLICATIONS LTD

z a w i a d a m i a j ą ,

że ukazała się w związku z 25-leciem walk Żołnierza Polskiego we Włoszech niezwykle ciekawa i barwna opowieść o słynnym w historii 2-go Korpusu Polskiego niedźwiadku:

W. A. LASOCKI

W O J T E K

spod

MONTE CASSINO

z ilustracjami Ireny Ludwig

Cena: 12/6

Zamówienia przyjmuje:

KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W.7.

MARIA ROMANA CATTI DE GASPERI

De Gasperi, polityk i człowiek

Fascynująca biografia polityczna, napisana przez córkę wielkiego męża stanu, przynosi nie tylko rewelacyjne materiały do życia i działalności niezwykłego człowieka, ale ukazuje, jak ten włoski kresowiec, twórca nowożytnej włoskiej demokracji chrześcijańskiej, odbudowując w niebywałym trudzie Włochy z katastrofy, w jakiej pogrążył je faszyzm, stał się równocześnie współtwórcą olbrzymiego dzieła jedności europejskiej.

Porywający obraz polityka, człowieka, katolika, który umiał godzić służbę krajowi z sumieniem, a swoje głębokie chrześcijaństwo z niezależnością wobec politycznych nacisków Watykanu.

297 stron, kolorowa okładka. Cena 36s. \$5.00

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u wydawcy

ODNOVA LIMITED

27, HAMILTON ROAD, BEDFORD PARK, LONDON, W.4.

JÓZEF GARLIŃSKI

POLAND, SO E

and the

ALLIES

„Każdy, kto chce poznać jedną z największych tragedii naszych czasów, musi przeczytać tę książkę“.

M. R. D. Foot (Sunday Times)

Cena: 35/-

Wydawca: George Allen and Unwin

Do nabycia:

w KSIĘGARNI KOMBATANCKIEJ
20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyustych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

Czy jesteś
członkiem
SPK?